Dziwy Indji

Helena.P.Bławatska

I

Akurat sześćdziesiąt cztery lata temu t. j. w końcu 1818 r. we wrześniu, niedaleko Malabarskiego wybrzeża Indji południowych i raptem o 350 mil (ang,) od piekła Drawidyjskiego, zwanego Madrasem, dokonano przypadkowo odkrycia całkiem nieoczekiwanego rodzaju. Wydało się ono wtedy wszystkim do tego stopnia dziwne, wprost nie prawdopodobnem, że z początku nikt w to nie wierzył. W jednej chwili powstały mętne, fantastyczne słuchy, naprzód śród ludu, potem i w wyższych sferach. Lecz kiedy dostały się do gazet miejscowych i zamieniły w rzeczywistość oficjalną, gorączka wyczekiwania przeszła u wszystkich w stan zgoła febryczny.

W wolno poruszających się i z powodu upału prawie zanikających w bezczynności mózgach madraskich Anglików dokonała się perturbacja molekularna, mówiąc językiem znanych fizjologów. Wszystko, z wyjątkiem limfatycznych mudiljarów, łączących w sobie temperamenty żaby i salamandry, poruszyło się, zakotłowało i jęło nagłos bredzić o jakimś cudnym chłodnym edenie, w samem łonie „Gór Błękitnych" (po ind.-ang. Nilgluri), odkrytym rzekomo przez dwóch dzielnych myśliwców. Wedle ich informacji, jest tam raj ziemski: wonne zefiry i chłodek, jak rok długi; kraina, ponad mgłami Coimbatore *), gdzie szumią wspaniałe wodospady, gdzie od stycznia do grudnia panuje wieczna europejska wiosna, kwitną dzikie róże i heliotropy, pachną wielkie jak dzbany lilje **), gdzie bujają na swobodzie, sądząc po ich wielkości, przedpotopowe bawoły i mieszkają guliwerowscy olbrzymi i lilipuci; każda dolina, każdy przesmyk górski tej cudnej indyjskiej Szwajcarji przedstawia sobą oddzielony od reszty świata zakątek raju ziemskiego itp.

Od tych opowieści w wielce szanownych ojcach „Wschodnio-Indyjskiej Kompanji" poruszyła się senna i niemniej od mózgów w stanie atrofji będąca wątroba, i ślinka poszła im do ust. Z początku nikt nie wiedział, gdzie mianowicie odkryto takie cuda, ani

*) Jak przypuszczają, wskutek silnego upału w parujących błotnistych miejscowościach mgła ściele się na wysokości 3—400 stóp nad póz. morza wzdłuż całego łańcucha gór Coimbatorskich.— stały błękitny tuman, niezwykle żywej barwy, zamieniający się w okresie mtisonów w chmury deszczowe.

**) Nie jest to przesadzony opis najznamienniejszej, być może, na świecie, florv: krze róż wszelkich barw wyrastają ponad dachy domów, heliotropy dosięgają 20 stóp wysokości; lecz najciekawsze są lilje, o kielichach wielkich, jak karafka, odurzającej woni, rosnące kępami, w szczelinach nagich skał, nie niżej 7000 stóp nad póz. morza; najpiękniejsze, na cyplu Toddawcckim (około 9000 stóp) kwitną przez dziesięć miesięcy w roku.

dokąd i jak jechać po tak nęcący we wrześniu chłód. Wreszcie „ojcowie" zadecydowali, że należy wzmocnić odkrycie drogą oficjalną i wywiedzieć się przedewszystkiem, co to mianowicie odkryto. Myśliwców zaproszono do Głównego Zarządu Prezydentury i wówczas dowiedziano się, że w pobliżu Coimbatore zdarzyła się rzecz taka.

Lecz, naprzód, co to jest Coimbatore?

Coimbatore — to główne miasto powiatu tej nazwy, a sam powiat leży o trzysta mil od Madrasu, stolicy Indji południowych, i wyróżnia się pod wielu względami. Przedewszystkiem,

był on ziemią obiecaną dla myśliwych, polujących na słonie i tygrysy, jak również na drobniejszą zwierzynę, bowiem ten powiat, poza innemi urokami, słynie z moczarów i kniej. Czując śmierć, słonie, niewiadome dlaczego, zawsze wychodzą z puszczy w błota. Tam włażą w głęboki ił, gdzie w spokoju gotują się do nirwany. Dzięki takiemu szczególnemu ich przyzwyczajeniu moczary obfitują w kły słoniowe, które wydobywa się tam (lub raczej wydobywało się ongiś) dość łatwo.

Mówię „wydobywało się" w przeszłości. Niestety, dla biednych Indji wszystko od tego czasu zmieniło się! Teraz w nich nic się nie wydobywa i nikt nie może niczego wydobyć, chyba tylko wicekról, któremu wicekrólowanie daje honory monarsze i szalone pieniądze, zresztą niekiedy z domieszką zgniłych jaj od sierdzistych Indo-Anglików. Między „ongi" a „teraz" legła przepaść brytańskiego „prestiżu", wpoprzek której stoi widmo lorda Beaconsfielda... *) Ongi „ojcowie Kompanji" wydobywali, kupowali, odkrywali i zachowywali. Teraz, rada wicekrólewska otrzymuje, pobiera, odbiera i niczego nie zachowuje. Ongi „ojcowie" byli siłą pędną w krążeniu zastygającej krwi Indji, którą, chociaż ssali, lecz niekiedy i odświeżali, dolewając nowej krwi w prastare żyły tej krainy. Teraz zaś wicekról ze swą radą dolewają chyba tylko żółci. Wicekról jest środkowym punktem ogromnego imperjum, z którem nie ma nic wspól-nego, nawet sympatji. „Ojcowie", jeśli byli w pewnym sensie chwastem ojczyzny poświętnej krowy, byli jednak i soczystym łopianem, żywiącym miljony łagodnych osłów. A wicekról to wspaniały kwiat, sztucznie zaszczepiony na roślinie, zwanej Cesarstwem Indji, który wyczerpując jej siły, zabija powoli samą roślinę. Według poetycznego wyrażenia sir Ryszarda Temple'a „wicekról—to mocna oś, dokoła której winno się kręcić koło Cesarstwa..." Przypuśćmy: tylko że owo koło od pewnego czasu zaczęło się kręcić z tak szaloną szybkością, że każdej chwili grozi strzaskaniem się.

Lecz, jak ongi tak i teraz, Coimbatore słynie nie tylko ze swych puszcz i błot, lecz był 5 jest uważany za rozsadnik trądu, febry i elefantiazisu (słoniowa-lość nóg). Powiat, noszący tę nazwę, to właściwie

*) Jak wiadomo, Żyda, Benjamina Disraeli, wyznawcę idei „protekcjonizmu" (eleganckie słowo dla oznaczenia rabunku), przeciwnika politycznego wodza liberałów, szlachetnego Gladstone'a.

wyniosła kotlina górska, dwieście mil długa a zaledwie dwadzieścia szeroka; wrzyna się ona ostrym klinem w Góry Słoniowe, łącząc się jednym z boków z dziewiczemi prawie lasami i dżunglami, drugim wznosząc się stopniowo ku dalszym wyżynom. To tropikalna, wiecznie zielona od wyparów błot, pustelnia słonia i dziś już wymierającego boa-dusiciela. Od strony Madrasu wygląda na górzysty trójkąt, gdzie wejścia do kotliny jakby strzegło przez naturę postawionych dwóch olbrzymów-szyldwachów: ostre szczyty Nilghiri i Mukkartebet (8760 i 8380 stóp), *przezwane* w miejscowej anglo-indyjskiej geografji „Teneryfami Indji".

Od niepamiętnych czasów góry te słynęły jako niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Taka ich sława przeszła w podania miejscowe, i cała kraina, do której broniły wstępu, uważana była za dziedzinę poświętną i przez to zaczarowaną; jej rubieże przestąpić, nawet mimowolnie, było świętokradztwem, godnem śmierci. Siedlisko to bowiem bogów i wyższych duchów (dewów). Tam jest s warga (raj) i tam również naraka (piekło), pełne „ażurów" *) i „piza-czów" **). W ten sposób, pod osłoną religijnego podania, okolica Nilghiri przez ciąg długich wieków była zupełnie nieznana reszcie Indji. Tem mniej w owych odległych czasach istnienia „czcigodnej" (Right Honourable) Wschodnio-Indyjskiej Kompanji,

*) *Ażury* — duchy-śpiewacy, sprawiający rozkosz uszom bogów pieniami.
**) *Pizaczt* — duchy-wampiry.

t. j, w drugim dziesiątki! lat ub. wieku, mogło przyjść do głowy komukolwiek z Europejczyków zbadanie zamkniętej ze wszystkich stron wewnętrznej miejscowości w górach; nie dlatego, żeby ktoś z nich wierzył w śpiewające duchy, lecz dlatego, że, wierząc w nie-dostępność tych wyżyn, nikt nawet nie podejrzewał istnienia tam tak uroczych zakątków, do tego zamieszkiwanych przez

inne stworzenia prócz dzikich zwierząt i wężów. Zdarzało się czasem, że Anglik-sportsmen lub myśliwy z eurazjatów (mieszaniec Europejczyka z Indusem), doszedłszy do podnóża tych zaczarowanych wyżyn, nalegał, żeby tubylec-szikari (myśliwiec) powiódł go kilkaset stóp wyżej.

Pod tym lub owym pozorem przewodnicy zawsze wymawiali się od tego. Najczęściej upewniali saaba (pana), że dalej wogóle iść niemożna: niema tam bowiem ani lasów, ani zwierzyny, a są jeno przepaście, skały do chmur i wertepy, zamieszkane przez złe licha — przednią straż dewów. I *żaden* szikari, za żadne pieniądze nie zgadzał się iść powyżej pewnej rubieży na tych górach.

Co to jest „szikari"? Współczesny przedstawiciel tej klasy ludności pozostał tem samem, czem był w legendowych czasach króla Ramy. W Indjach każda profesja staje się dziedziczna, a potem *przechodzi do* kasty. Czem był ojciec, tem będzie i syn. Całe pokolenia krystalizują się i jakgdyby zastygają w tej samej socjalnej formie. Szikari zazwyczaj odziany jest w strój złożony z kordelasów, rogów bawolich z prochem i starożytnej skałkówki, dziewięć razy na dziesięć strzałów palącej na panewce — na zupełnie nagiem ciele. Często ma on wygląd zgrzybiałego starca, z niemożliwie zapadniętym brzuchem, jakgdyby obolałym. Lecz nie dlatego szikari ledwie wlecze się, zgięty we troje: jest to wynik długiego, z racji jego fachu, przyzwyczajenia. Niech tylko przywoła go saab-sportsmen, pokaże mu i zaproponuje kilka rupji — szikari momentalnie prostuje się i zacznie się targować o pójście na wszelkiego zwierza. Ugodziwszy się, znów zegnie się w kabłąk, opasze się pachnącemi trawami, żeby nie zdradzić się przed zwierzem kształtem, i żeby ten nie poczuł człowieka, i przesiedzi szereg nocy, schowany, niby drapieżny ptak, w gęstwinie liści na drzewie, między „wampirami" mniej drapieżnemi od niego. Nie zdradzając swej obecności nawet półwestchnieniem, wątły z pozoru Nemrod gotuje się z zimną krwią śledzić ko-nanie, uwiązanego *przezeń* do drzewa, na przynętę dla tygrysa nieszczęsnego kozła lub bawolika. A potem, wyszczerzywszy zęby na widok bestji od ucha do ucha, pocznie przysłuchiwać się, bez drgnienia jednego muskułu, żałosnemu bekowi i wchłaniać z rozkoszą zapach świeżej krwi, zmieszany z dobrze mu znanym ostrym specyficznym odorem pręgowalego kata puszczy. Rozchyliwszy ostrożnie i bezszele-stnie gałęzie, będzie długo i czujnie obserwować ucztującego tygrysa — i gdy zwierz, ciężko stąpając okrwawionemi łapami po wyschłej ziemi, oblizując się i ziewając, obróci się raz *jeszcze,* zwyczajem wszystkich pręgowatych, by popatrzeć na resztki swej ofiary, wówczas szikari wypali ze swej skalkówki i napewno położy bestję trupem od jednego strzału. „Strzelba szikari nigdy nie pali w panewce przy strzale do tygrysa" mówi starodawna gadka, która między myśliwcami przeszła w aksjomat, A jeżeli saab ma ochotę zabawić się sam strzelaniem do leśnego „bara — saaba" (wielkiego pana) *), wtedy szikari, wyśledziwszy z drzewa, dokąd tygrys udał się na legowisko, skoro świt, zeskoczy ze swej gałęzi, popędzi co tchu do wsi, najmie ludzi, urządzi obławę i będzie cały dzień, pod palącemi promieniami słońca, biegać od jednej grupy do drugiej ,wydawać rozkazy, krzyczeć, giestykulować, póki „saab" Nr, \ nie zrani z *bezpiecznej* wysokości swego słonia „saaba" Nr, 2, którego jednak będzie musiał dobić, ze swej starodawnej broni, szikari. Dopiero wtenczas, o ile nie zajdzie nic szczególnego, myśliwiec uda się pod pierwszy napotkany kierz, gdzie jednocześnie i jednorazowo zje wspaniałe śniadanie, obiad, podwieczorek i wieczerzę, złożone z garści stęchłego ryżu i błotnistej wody, •

Otóż z *trzema,* takiemi zuchami — szikarami, jak się rzekło, we wrześniu 1818 r,, pod koniec wakacji letnich, dwóch Anglików, geometrów, urzędników

*) To przezwisko dają krajowcy zarówno każdemu angielskiemu urzędnikowi lub myśliwemu, jak i tygrysowi. Dla łagodnego Indusa niema znów między jednym a drugim tak wielkiej ,. różnicy, chyba ta, że przy strzale do pierwszego, na jego niezasłużone szczęście, strzelba nieszczęsnego tubylca, przy każdej próbie narodowej, zawsze paliła na panewce.

Kompanji, udało się na polowanie do Coimbatore, zabłądziło i doszło do ówczesnych krańców myśliwskiej okolicy, do wodospadu Colacambe (680 stóp wysokiego). Nad niemi, daleko i wysoko pod obłokami, wyrywając się z modrawej rzadkiej mgły, widniały skaliste cyple Nilghiri

i Mukkartebetu. To terra inco-gnita, świat zaczarowany, tajemnicze Góry Błękitne, siedziba bóstw nieznanych.

Skoczybrózdom angielskim zachciało się spróbować szczęścia i rozkazali szikarom prowadzić ich dalej. Lecz dzielni szikarowie, jak należało się tego spodziewać, kategorycznie odmówili. Z raportu tych dwóch Anglików dowiadujemy się, że ci starzy, doświadczeni i odważni myśliwi, tępiciele tygrysów i słoni, na pierwsze słowo o tem, żeby iść dalej, za wodospad, rzucili się do ucieczki. Schwytani i sprowadzeni z powrotem •—- wszyscy trzej padli na twarz przed grzmiącym potokiem i według naiwnego wyznania jednego z geometrów, Kindersley'a „połączo-ne usiłowania naszych dwóch tęgich harapów nie mogły postawić ich na nogi".,, dopóki nie ukończyli swych głośnych modłów błagalnych do dewów, by nie karali i nie gubili ich, niewinnych szikarów, za takie przestępstwo. Drżeli jak liść osiny, tarzali się po mokrej trawie brzegu, jakby w ataku epilepsji — „Nikt nigdy nie postawił stopy za rubież wodospadu Colacambe" — mówili — i, kto wkroczy w te wertepy, ten nigdy żyw stamtąd nie wróci".

Tak oto tym razem, a raczej tego dnia, Anglikom nie udało się przekroczyć linji górskiej za wodospadem. Nie było rady: musieli powrócić do wsi, z której wyruszyli rankiem. Bez przewodników Anglicy bali się zabłądzić, i dlatego ustąpili krajowcom. Lecz poprzysięgli sobie zmusić innym razem szikarów iść dalej. Powróciwszy na nocleg, wezwali prawie całą wieś i odbyli ze starszyzną naradę. To, co usłyszeli, *jeszcze* bardziej rozpaliło ich ciekawość.

Wśród ludu krążyły o zaczarowanych górach niewiarogodne słuchy, i wielu drobnych „zeminda-rów" (rolników) powoływano się na miejscowych plantatorów i urzędników— eurazjatów, jako na osoby, wiedzące prawdę o świętej miejscowości i pojmujące dobrze niemożność dostania się tam. Opowiedzieli całą epopeję o pewnym plantatorze indy-ga, posiadającym wszelkie cnoty, prócz wiary w bogów indyjskich. Pewnego dnia mr. D,, ścigając zwierza, niebaczny na ostrzeżenia poważnych braminów, zapuścił się za wodospad, i odtąd wszelki słuch o nim zaginął. Dopiero po tygodniu dowiedziały się władze o jego prawdopodobnym losie, i to jeno dzięki starej „świętej" małpie z sąsiedniej pagody, .Szanowne małpisko miało, jak widać, zwyczaj składania w wolnym od zajęć religijnych czasie wizyt w okolicznych plantacjach, gdzie je fetowali nabożni kulisi. Pewnego ranka stara małpa zjawiła się z butem na głowie. Okazało się, że jest to but z nogi plantatora; właściciel buta nie znalazł się nigdy. „Bez najmniejszej wątpliwości zuchwalec został rozszarpany w sztuki *przez* „pizacze" — zadecydował lud. Coprawda, Kompanja podejrzewała o ten akt zemsty bogów braminów pagody, którzy zdawna procesowali się z przepadłym bez wieści o ziemię, lecz „toć saaby zawsze i o wszystko podejrzewają tych świętych mężów, osobliwie w Indjach południowych"— mówiła zebrana starszyzna wioskowa.

Podejrzenie nie przeobraziło się jednak w śledztwo. Biedny plantator przeszedł na wieki w daleki i w one czasy jeszcze mniej od Gór Błękitnych zbadany przez władze i uczonych świat, świat bezcielesnej myśli; a na ziemi przemienił się w podanie, o którem pamięć wiekuista, pod postacią starego buta, stoi i po dziś dzień za szkłem, w szafie kan-celarji policji powiatowej.

Mówiono... cóż jeszcze mówiono na radzie? Aha: z tej strony „chmur deszczowych" góry są niezamieszkane; dotyczy to oczywiście jeno zwykłych, dla każdego widzialnych śmiertelników; zaś po tamtej strony „gniewnej wody", wodospadu, t. j. na wysokości świętych szczytów mieszka nieziemskie plemię, plemię czarodziejów i półbogów.

Tam panuje wieczna wiosna, niema ani deszczów, ani suszy, ani upału, ani zimna. Czarodzieje tego plemienia nietylko że się nie żenią, lecz i nie umierają, nawet nie rodzą się: niemowlęta ich spadają gotowe z podniebia. Nikomu ze śmiertelnych nie udało się jeszcze być na tych wyżynach i nie uda się — chyba po śmierci. Wówczas stanie się to możliwe, ponieważ, jak dobrze wiedzą o tem bramini — a któż to ma lepiej od nich wiedzieć? — niebiańscy mieszkańcy Gór Błękitnych, ze czci dla boga Brahmy, odstąpili mu część swej góry pod swargę (raj). Pewnego razu szikari z ich sioła, po pijanemu, udał się nocą śledzić tygrysa i niechcący zabrnął za wodospad. Nazajutrz znaleziono go u podnóża góry nieżywego.

Podnieceni takiemi opowieściami, a co najważniejsza, widocznemi przeszkodami i trudami wyprawy, nasi dwaj myśliwi postanowili dowieść raz jeszcze krajowcom, że dla „wyższej", panującej nad niemi rasy, słowo „niemożliwość" nie istnieje. Dla bry-tańskiego „prestiżu" było niezbędne zaświadczać o sobie zawsze, w przeciwnym *razie* mogliby ludzie o nim zapomnieć.

Dostawszy się między dwa ognie: „prestiżu" władców ziemskich i zabobonnego strachu przed władcami piekieł i ich zemstą, nieszczęśni Drawidzi poczuli się jakby ściśnięci w kleszczach strasznego dylematu. Nie minął i tydzień, gdy oto angielscy saa-bi razili mieszkańców wioski jak gromem oświadczeniem, że za trzy dni, po przybyciu kilku żołnierzy z najbliższego garnizonu i geometrów, cały oddział zamierza wyruszyć na zbadanie świętych szczytów Gór Błękitnych.

Usłyszawszy straszną dla siebie nowinę, kilku zemindarów ofiarowało się na dcharnę, t, j. śmierć głodową u drzwi saabów, póki ci nie zmiłują się i nie wyrzekną się swego przedsięwzięcia. Wioskowi munsyfowie (sołtysi) rozdarłszy szaty, co przyszło im Z łatwością, ogolili głowy swym żonom i kazali im na znak powszechnej żałoby i nieszczęścia drapać sobie (żonom, oczywista) twarze do krwi. Bramini wymawiali nagłos zaklęcia, w których posyłali Anglików do wszystkich djabłów. Wieś rozbrzmiewała zawodzeniem rozpaczliwem całe trzy dni. Nic to nie po-mogło. Uczyniono, jak zapowiedziano. Wyszykowawszy oddział z wybranych śród pracowników Kompanji zuchów, nowi Kolumbowie zdecydowali się wyruszyć w drogę nawet bez przewodników. Sioło opu-stoszało, jak po pogromie wojennym; mieszkańcy rozbiegli się i poukrywali, ł geometrom, kierownikom ekspedycji, nie pozostało nic innego, jak iść samym odszukiwać drogę. Zbłąkali się jednak i powrócili. Lecz badacze nie upadli na duchu. Udało im się pochwycić dwóch Malabarczyków; wzięli ich jako jeńców i postawili im ultimatum: „Albo prowadźcie — i oto macie złoto; albo odmawiajcie i mimo to pójdziecie, bo was poprowadzą siłą — lecz w tym wypadku zamiast złota *czeka* was więzienie". A w owe błogosławione dla Kompanji czasy słowo „więzienie" było synonimem, nietylko w obwodzie Madraskim, tortury. Groźba poskutkowała. Biedni Malabarczycy opuścili głowy i półżywi, powiedli Europejczyków do Colakambe.

Dziwne, jeśli stało się potem to, co opowiadają: a że tak było, poręcza nam to oficjalnie dwóch geometrów.

Zanim wyprawa doszła do wodospadu, na postoju, jednego z Malabarczyków, mimo jego nieponętnej chudości, porwał tygrys, zanim ktokolwiek z myśliwych zauważył bestję. Krzyki nieszczęśliwego zwróciły ich uwagę, gdy było już za późno: „strzały albo chybiły, albo też zabiły ofiarę, która wraz z rabusiem zniknęła z oczu, jak gdyby ziemia się pod niemi rozstąpiła" powiedziano w raporcie. A drugi tubylec, przeprawiwszy się *przez* bystry potok na tamten „zakazany" brzeg, o milę od wodospadu, gdzie oddział zanocował w pierwszym dniu wyprawy, nagle zmarł, najprawdopodobniej ze strachu. Ciekawa jest opinja naocznego świadka o tym dziwnym zbiegu okoliczności. Opisując ten wypadek (w Madras Courrier z 3 listopada 1818 r.) urzędnik Kindersley pisze tak:

„Przekonawszy się o niesymulowanej śmierci drugiego murzyna (nigger) nasi żołnierze, szczególniej zabobonni Irlandczycy, mocno się tem stropili. Lecz my z Whish'em (nazwisko drugiego geometry) powzięliśmy odrazu decyzję: cofnąć się — znaczyłoby okryć siebie hańbą bez korzyści, stać się na zawsze pośmiewiskiem towarzyszów i zamknąć na wieki dostęp do gór Nilghirskich i ich cudowności (jeśli tam one się znajdują) wszystkim innym Anglikom., Postanowiliśmy tedy ruszyć dalej bez przewodników, tem-bardziej, że ani obaj zmarli Malabarczycy, ani inni żywi nie lepiej od nas znali drogę po drugiej stronie wodospadu".

Z dalszego opisu notujemy następujące ważniejsze epizody:
Posunąwszy się wyżej, daleko za rubież mgieł nasi awanturnicy natknęli się na ogromnego boa-dusiciela. Jeden z nich niespodziewanie upadł na „coś śliskiego i miękkiego". Owo „coś" poruszyło się, za-szeleściało, wstało i okazało się tem, czem było w istocie, t. j. nader nieprzyjemnym towarzyszem. Dusiciel na powitanie owinął się dokoła jednego z zabobonnych Irlandczyków i zdążył, przed otrzymaniem kilku kuł w rozwartą paszczę, ścisnąć „Patryka" w

swych zimnych objęciach z taką siłą, że nieszczęśnik w kilkanaście minut potem zakończył życie. Nie bez trudu ubiwszy potwora i zmierzywszy zdartą skórę, podróżnicy zobaczyli ze zdziwieniem, że boa miał 26 stóp długości! Należało potem wykopać dla biednego Irlandczyka grób, czego dokonali z dużym wysiłkiem, ledwie zdoławszy ocalić zwłoki od zlatujących się ze wszystkich stron białych sępów. Mogiłę tę pokazują do dziś dnia. Znajduje się ona pod skałą, nieco powyżej Kunnuru.

Pierwsi osadnicy angielscy zrobili składkę i ozdobili mogiłę przyzwoitym nagrobkiem, dla upamiętnienia „pierwszego pioniera, który zginął podczas wyprawy w góry".

Nad dwoma „murzynami" nic nie postawili, choć oni to właśnie byli pierwszemi ofiarami ekspedycji i pierwszemi, aczkolwiek wbrew woli, pionierami. Lecz jeśli w oczach Anglika nawet zawsze nienawistny mu Irlandczyk jest jednak czemś w rodzaju człowieka, krajowiec w Indjach — to nawet nie bydlę: w przeciwnym razie ujęłoby się za nim Towarzystwo opieki nad zwierzętami, czego, jak wszystkim wiadomo, nie czyni. Straciwszy dwóch czarnych pionków i jednego białego człowieka, Anglicy poleźli dalej i spotkali się ze stadem walczących ze sobą słoni. Słonie na szczęście nie zauważyły ich, więc i nie tchnęły, lecz wywołały rozsypkę przerażonego oddziału. Gdy chcieli się zebrać na nowo, okazało się, że rozbili się na grupki, po dwóch, trzech ludzi w jednej. Po całonocnem błąkaniu się po lesie, siedmiu powróciło następnego dnia o różnych porach do wioski, z której ekspedycja wyruszyła. Trzech europejczyków przepadło bez śladu. Pozostawieni sami sobie, Kindersley i Whish tłukli się jeszcze przez kilka dni i nocy po zboczach gór, to wdrapując się na wyniosłości, to spuszczając się w wąwozy. Cały czas musieli żywić się jagodami i grzybami, znajdowanemi w obfitości. Co wieczór ryk tygrysów i słoni zmuszał ich do szukania schronu na wysokich drzewach i spędzania nocy bez snu, czuwając kolejno i oczekując co chwila śmierci.

Niefortunni poszukiwacze kilkakrotnie usiłowali zawrócić z powrotem; lecz, mimo wszelkie wysiłki, choć szli prosto nadół, co chwila napotykali takie przeszkody, iż z konieczności musieli skręcać w bok i, szukając obejścia skały lub wzgórza, znajdywali siebie znowu w wertepie bez wyjścia. Narzędzia ich, a nawet broń, z wyjątkiem wiszących na nich strzelb i pistoletów, pozostały w rękach reszty uczestników wyprawy. Nie byli w stanie ani się zorjentować, ani *znaleźć* drogi wdół i mogli uczynić tylko jedno: wdrą.-pywać się coraz wyżej. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że od strony Coimbatore Nilghiri tworzy drabinę olbrzymich prostopadłych skał od 5000 do 7000 stóp wysokości, że wiele tych skał tworzy straszne przepaści i że geometrzy wybrali właśnie tę drogę — to łatwo sobie wyobrazić, z jakiemi trudnościami przyszło im się zmagać, W miarę ich posuwania się wzwyż natura jakgdyby zamykała im odwrót. Często musieli wdrapywać się na wierzchoły drzew, żeby stamtąd przeskakiwać urwiska.

Nareszcie, dziewiątego dnia wędrówki, straciwszy wszelką nadzieję znalezienia w tych górach czegokolwiek prócz śmierci, postanowili raz jeszcze spróbować powrotu, spuszczając się prosto zgóry i unikając o ile można, wszelkich skrętów w bok. Wskutek takiej decyzji, uplanowali dostać się na najwyższe wzniesienie przed sobą, żeby stamtąd rozejrzeć się po okolicy i lepiej zorjentować co do powrotnej drogi. Znajdowali się wówczas na polanie, w niewielkiej odległości od wysokiego, niezbyt stromego wzgórza, z niedużemi, na oko, skałami na szczycie. Żeby dotrzeć do nich, zdawało się, wystarczy wbiedz na wzgórze, co, sądząc z jego wyglądu, nie było rzeczą trudną. Ku ich zdumieniu, goniąc resztkami sił, gramolili się tam około dwóch godzin. Pokryte gęstą trawą, którą tu nazywają „atłasową" (satin grass), wzgórze okazało się, było tak ślizkie, że odrazu od pierwszych kroków musieli posuwać się prawie pełzając i chwytając się trawy i krzaków, by nie stoczyć się w dół. Wdrapywać się po takiej trawie, to jakby chcieć wejść na szklaną górę. Dobrnąwszy wreszcie, po niesłychanych wysiłkach do szczytu, obadwaj padli do cna wyczerpani i byli przygotowani, jak pisze Kindersley, na gorsze.

To było obecnie znane powszechnie w tych stronach, słynne „wzgórze grobowców", które geometrzy wzięli z początku za skały. To, jak i wiele innych wzgórz łańcucha Nilghirskiego, jest usiane temi zabytkami nieznanej lecz głębokiej starożytności.

Kiedy w dwadzieścia lat potem zaczęto rozkopywać grobowce, w każdym z nich znaleziono dużą ilość żelaznych, bronzowych i glinianych naczyń, niezwykłych kształtów posążki i metalowe, grubej roboty ozdoby. Ani posążki, zapewne bałwanki, ani naczynia i ozdoby w niczem nie przypominają tego rodzaju przedmiotów, używanych w innych częściach Indji i śród innych narodów świata. Zwłaszcza wyróżniają się swą formą wyroby gliniane: jakby prawizerunki gadów, które pełzały w chaosie przy stworzeniu świata. Co się tyczy samych grobowców, kiedy i przez kogo były one pobudowane, dla jakiej rasy ludzkiej służyły za ostatni schron na ziemi, również nic powiedzieć niemożna, ani nawet przypuścić, gdyż każda hy-poteza rozbija się o ten lub ów szkopuł. Co oznaczają te dziwne figury geometryczne, kamienne, kościane i gliniane, te trójkąty, pięcio, sześcio i ośmiokąty, jak-najbardziej prawidłowej formy, te wreszcie, figurki z gliny o baranich i oślich głowach na ptasiem ciele? Grobowce, t. j. otaczający mogiłę mur, ma zaw₌ sze kształt owalny, jest na dwa do trzech metrów wysoki i złożony z dużych, nieobciosanych głazów bez wapna "). Ściana ta jest zawsze obramowaniem głębokiej niekiedy do sześciu jardów (około 5 i pół metrów) mogiły, pokrytej sklepieniem i wyłożonej niekiedy, jak sklepienie, gładkiemi kamieniami, choć przeważnie sklepienia trudno rozpoznać pod warstwą ziemi, głazów i korzeniami drzew. Kształt grobowców przypomina w ogólnych zarysach starożytne mogiły w innych częściach świata, lecz sam przez się mało rzuca światła na ich pochodzenie. Takie zabytki spotyka się w Bretanji, w Walji, w Anglji, zarówno jak w górach Kaukazu, Oczywiście u angielskich uczonych i tym *razem* nie obeszło się bez wszędy obecnych Scytów i Fartów, Tylko, że zachowane w tutejszych grobowcach szczątki archeologiczne w żadnym razie nie są scytyjskie; przytem dotychczas nie znajdywano w nich nigdy ani szkieletów, ani czegobądź, podobnego do oręża. Napisów również niema żadnych, choć wydobyto kamienne tablice, gdzie w narożnikach były wydrapane jakby hieroglify, w rodzaju spotykanych na wykopaliskach w Meksyku. Śród wszystkich pięciu szczepów, zamieszkujących góry Nilghirskie, ludzi całkiem odmiennych ras (o czem będzie dalej), nie *znalazł:* się nikt, ktoby mógł dać jakąkolwiek wskazówkę, co do pochodzenia tych nieznanych nikomu grobów, Toddowie, najstarożyt-niejsze z tych pięciu plemion, również nic o nich nie wiedzą. „Nie nasze i nie możemy powiedzieć, czyje,

*) Murowaniu z kamieni bez wapna *(plerrfs Uchei)* znane były w starożytności. Mówi o nich Flaubert w „Salambo". Przyp. tłom. •

ojcowie nasi i pierwsze pokolenia zastały je lulaj, i nikt ich nie budował za naszej pamięci" — oto stała odpowiedź Toddów na indagacje archeologów. Jeśli przy tem zważy się, jak głęboką starożytność przypisują swemu plemieniu sami Toddowie, wyniknie, że w tych grobowcach chowano praojców Adama i Ewy. Obrzędy pogrzebowe u tych pięciu szczepów całkowicie się różnią między sobą: Toddowie palą swych nieboszczyków wraz z ich ulubionemi bawołami; Muł-łu-Kurumbowie chowają ich w wodzie; Erullarowie przywiązują do wierzchołków drzew i t, d.

Gdyby zbłąkani wędrowcy, przyszedłszy do siebie, wstali i zaczęli rozglądać się po okolicy, rozście-łającej się przed niemi dokoła na wiele dziesiątków mil (ang.), to zapewne uprzedziliby mnie w opisie jednej z najwspanalszych panoram Indji *).

Na tej wyżynie panuje wieczna wiosna. Nawet grudniowe i styczniowe mroźne noce nie potrafią wygnać jej stąd w południe. Tutaj wszystko świeże i zielone, wszystko kwitnie i pachnie, jak rok długi, i Góry Błękitne jawią się tutaj w całym uroku uśmiechającego się nawet *przez* łzy dziecięcia, piękniejsze być może, w okresie deszczów, niż w innej porze roku **). I wogóle, na tych wyżynach wszystko jakgdyby dopiero się rodziło, jawiło się pierwsze na świat boży,

l,*) Blawatska zwiedzała Góry Błękitne i opisuje „wzgórze grobowców" i widok stąd z własnych *wrażeń;* podaję z tego opisu tylko wyjątki. (W. R.)

*") Gdy u stóp gór pada deszcz ulewny, tutaj tylko kropi parę godzin i to z przerwami.

Gniewny potok górski tutaj jest w kolebce. By je z pod rodzimego głazu cienką smugą, biegnąc dalej szumiącym strumykiem, na którego przezroczystem dnie leżą atomy przyszłych groźnych złomów skalnych. W swym podwójnym obrazie natura jawi się tutaj jako symbol całokształtu życia ludzkiego: czysta i jasna, jak wiek dziecięcy, na tych wysokościach; surowa i poszarpana, jak samo życie w walce żywiołowej — niżej. Lecz wszystko, i na górze i w dole, kwitnie o wszystkich porach roku, wszystkiemi tęczowe-mi farbami czarodziejskiej palety Indjł. W tych górach przybyszowi z dolin wszystko wydaje się niezwykłem, obcem, potężnem. Tu ogorzały, piernikowej barwy kulis zamienia się w bladolicego, rosłego Tod-da, który niby zjawa starożytnego Greka czy Rzymianina, z dumnym profilem, dostojnym ruchem drapując się w białą lnianą togę, niemającą w sobie podobieństwa do żadnego stroju w Indjach, patrzy na Indusa z życzliwą pogardą byka, wpatrzonego z zadumą w czarną ropuchę. Tu żółtonogi pstrokaty jastrząb nizin zjawia się w postaci potężnego skalnego orła; a wyschłe byliny i przysmalony żarem łopian pól ma-draskich wyrasta w gigantyczną trawę, w całe lasy trzciny, gdzie słoń śmiało może się bawić w chowanego, nie bojąc się ludzkiego oka. Tu śpiewa nasz słowik ł kukułka składa jaja w gnieździe żółtodziobej majny (rodzaj szpaka), zamiast gniazda swej północnej przyjaciółki, głupiej wrony, która w tych lasach obraca się w srogiego czarnego kruka. Tutaj wszędzie kontrast; gdziekolwiek rzucisz okiem — anomalja, Z gęstego listowia dzikiej jabłoni wylatują w świetlane południe melodyjne dźwięki, ćwierkanie i śpiew nieznanych w dolinach Indji ptaków; a z mrocznego boru dochodzi niekiedy złowieszczy ryk tygrysa i porykiwania dzikiego bawola. Raz wraz uroczystą ciszę, panującą na wyżynach, przerywają ciche, tajemnicze dźwięki, to znów dziki, chrapliwy krzyk. Poczem znowu wszystko milknie, zamiera w wonnych falach czystego górskiego powietrza i z powrotem rozgaszcza się nieprzerywane żadnym dźwiękiem milczenia.

Tak. Niełatwo zapomnieć o Błękitnych Nilghiri temu, kto w nich przebywał! W tym cudnym klimacie, macierz-przyroda, zebrawszy swe rozproszone siły, złączyła je w jedno dla powołania do życia wszystkich wzorów swej wielkiej twórczości. Jakby naprzemiany ukazuje się w przejawach to północnych, to południowych stref globu ziemskiego. Dlatego to ożywia się, budząc się do działania, to znów zamiera, znużona i leniwa. Widzisz ją dumną i dziką, przypominającą o swej mocy kolosalnemi roślinami lasów tropikalnych i rykiem zwierząt-olbrzymów;'a odejdziesz krok w przeciwną stronę — ł oto pada ona. jakgdyby wyczerpana ostatecznym wysiłkiem, i słodko zasypia na kobiercu północnych fijołków, niezapominajek i konwalji, pod rojem nigdzie niewidywa-nych czarodziejsko-pięknych motyli....

Obecnie podnóże Nilghiri otacza potrójny pas gajów eukaliptusowych, zasianych tu ręką wczesnych plantatorów — Europejczyków. To australijskie drzewo, rozrastające się w ciągu trzech, czterech lat tak bujnie jak inne i w ciągu dwudziestu nie zdoła, jako środek znakomicie oczyszczający powietrze od wszelkich miazmatów, czyni klimat Gór Błękitnych *jeszcze* zdrowszym. Wszyscy przedstawiciele Europy w okręgu Madraskim, wyczerpani zbyt monotonnemi gorącemi pieszczotami przyrody indyjskiej, rwą się w poszukiwaniu wytchnienia i ozdrowienia na łono tych gór; złączywszy jakby w jeden bukiet wszystkie klimaty, florę, zoologię ornitologję pięciu części świata, duch gór ofiaruje to wszystko w imieniu swej władczyni — Natury, każdemu znużonemu wędrowcowi, który wybrał się w Nilghiri.

Góry Błękitne to karta wizytowa z całkowitym wykazem zasług i tytułów, którą przyroda, zła macocha Europejczyka w Indjach, zostawia na znak zupełnego pojednania się, swemu, przez nią samą umęczonemu pasierbowi.

Godzina takiego pojednania wybiła i dla naszych biednych bohaterów. Zupełnie rozbici, ledwie mogli utrzymać się na nogach. Silniejszy i mniej od Whisha wyczerpany Kindersley, odpocząwszy, zaczął obchodzić wzgórze. Starał się wypatrzeć stąd, w chaosie skał i lasów, roztaczającym się przed nim, najdogodniejszą do powrotu drogę. Wydało mu się, że widzi w pewnem miejscu dym i spiesznie wrócił do towarzysza, by mu obwieścić tę nowinę — gdy naraz zatrzymał się, jak rażony gromem. *Przed* nim stał, wpół obrócony plecami, blady śmiertelnie i dygocący jak w febrze Whish. Wyciągnąwszy rękę, wskazywał palcem w dal. Wówczas Kindersley spojrzał w kierunku palca i w odległości zaledwie kilkuset stóp od nich, w parowie, u

podnóża wyniosłości, ujrzał z początku jakąś sadybę, a dalej — i ludzi. Widok ten, który kiedyindziej uradowałby ich niesłychanie, teraz, niewiadomo dlaczego, napełnił obydwóch przerażeniem. Coprawda, budowla była jakaś dziwna, o niewidzianej dotąd przez nich nigdzie strukturze. Nie miała ani okien, ani drzwi, była okrągła jak baszta, z piramidalnym, choć zaokrąglonym u Szczytu dachem. Co zaś się tyczy ludzi, to na pierwszy rzut oka obaj urzędnicy wahali się nawet, czy to są ludzie. Instynktownie rzucili się za poblizkie krzaki i, rozchyliwszy gałęzie, wytrzeszczali oczy na osobliwe ruszające się przed niemi figury. To, co ujrzeli, opisuje Kindersley, jako „grupę olbrzymów, a wpobliżu nich— kilka grup niesłychanie poczwarnych karzełków". Niepomni całej swej dawnej brawury i wyśmiewań, gotowi byli serjo wziąć ich za bożków i gnomów tych gór, lecz wkrótce okazało się, że byli to poprostu ogromni Toddowie, ich lennicy ł czciciele — Badcla-gowie i słudzy tych lenników, najpotworniejsze w świecie karły-dzikusy, Mułłu-Kurumbowie,

Straciwszy całą amunicję, zgubiwszy jedną ze strzelb i nie czując się na siłach, w swem krańcowem osłabieniu, stawić opór napadowi nawet takich liliputów, geometrzy zamierzali dać drapaka, staczając się, jak kłębek, cichaczem ze wzgórza, gdy naraz zauważyli zachodzącego im tyły drugiego nieprzyjaciela. Podkradły się ku nim i zasiadły powyżej nich, na drzewie małpy i stamtąd rozpoczęły kanonadę bardzo nieprzyjemnemi pociskami — grudkami błota. Ich jazgot i wojownicze krzyki ściągnęły uwagę pasącego się w pobliżu stada ogromnych bawołów. Teraz.zary-czały bawoły, podnosząc wysoko łby ku szczytowi pagórka, a wreszcie i ludzie widocznie dostrzegli wędrowców, gdyż niebawem pojawiły się przed niemi wstrętne karły i bez najmniejszego oporu wzięły do niewoli dwóch półżywych bohaterów. Kindersley, jak twierdził, „zemdlał od samego smrodu, wydzielanego *przez* potwornych dzikusów". Ku ich wielkiemu zdumieniu karzełki jednak ich nie pożarły i nawet niebardzo poturbowały: „Skakali jeno przed nami i pląsali, śmiejąc się na całe gardło" — pisze Kindersley. „Olbrzymi, to jest Toddowie, znaleźli się jak dżentelmeni (sic!)". Zaspokoiwszy swą zrozumiałą ciekawość na widok dotychczas, jak się okazało, nieznanych im ludzi białych, Toddowie napoili ich wy-bornem bawołem mlekiem, nakarmili serem i potrawą z grzybów, a potem ułożyli na spoczynek w zau-ważonym przez wędrowców piramidalnym domku, gdzie było „ciemno lecz ciepło i sucho, ł gdzie też spali jak zabici aż do rana". Całą noc, jak się potem okazało, Toddowie spędzili na walnej naradzie. Po latach, kiedy mister Sullivan, którego dotychczas nazywają „bratem ojcowskim" — najszanowniejsze po „ojcu" miano *) — zaskarbił sobie ich szczerą miłość

*) Toddowie nie uznają żadnych krewnych, prócz ojca, a i to nawet najczęściej nominalnie. Dla Todda ten jest ojcem, kto go usynowi.

i zaufanie, Toddowie, opowiadając mu o tej pamiętnej dla nich nocy, mówili, że już oddawna spodziewali się u siebie, w górach „ludzi od strony zachodzącego słońca". Na pytanie Sullivana, skąd o tem mogli wiedzieć, odpowiadali niezmiennie tem samem zdaniem: „tak nam oddawna oznajmiły bawoły, a one zawsze i wszystko wiedzą".

Tej nocy starcy rozstrzygnęli los Anglików i również odwrócili nową kartę w księdze swych własnych dziejów. Nazajutrz, widząc, że Anglicy ledwie powłóczą nogami, Toddowie rozkazali swym lennikom sporządzić dla chorych coś w rodzaju noszy, na których też ponieśli ich Baddagowie, Anglicy zauważyli, że Toddowie z samego rana gdzieś wysłali karłów. „Od tej chwili i aż do powrotu z wyprawy nie zetknęliśmy się z niemi i nawet nigdzieśmy ich nie widzieli", opowiada Kindersley. Jak dowiedziano się później, szczególniej z opowiadań misjonarza Metza, Toddowie nie bez przyczyny obawiali się dla swych gości wrogiej obecności Mułłu-Kurumbów: wysłali ich z powrotem w ich leśną głusz, surowo zakazując im patrzenia na białych wędrowców. Taki, nieco dziwny, zakaz motywowali wobec misjonarza tem, że „spoj-rzenie Kurumba zabija nieprzywykłego doń i lękającego się go człowieka", a że bojaźliwy wstręt Anglików do tych karłów oczywiście nie uszedł uwagi Toddów od chwili ich pojawienia się, wskutek tego zabronili Kurumbom patrzeć na przybyszów.

Biedni, szlachetni Toddowie! Kto wie, jak często potem żałowali ich starcy, że nie pozostawili na pastwą złego oka Mułłu-Kurumbów tych ludzi, od których powrotu do Madrasu i raportu zależały dalsze losy Nilghiri!..,. Lecz „tak oddawna zdecydowały bawoły... a one wiedzą!..." Wolno i ostrożnie niesieni przez Baddagów, dziwiąc się i oczywiście ciesząc się ze swego niespodziewanego, szczęśliwego ocalenia, Anglicy mieli teraz okazję lepiej przyjrzeć się drodze i okolicy. Zdumiewała ich swą Ogromną rozmaitością tutejsza flora, łącząca w sobie prawie wszystkie gatunki podzwrotnikowe a wraz z tem i klimatu północnego.

Nierzadko napotykali gigantyczne stare sosny, których spękane pnie ginęły u korzeni w aloesach i kaktusach. Fijołki kwitły u stóp palm, a białokora brzoza ł drżąca osina odbijały się w ciemnych cichych wodach jeziorka obok królewskiego kwiatu Egiptu i Indji, dumnego lotusa. W drodze widywali drzewa owocowe wszystkich krajów, jagody wszelkich odmian, od bananów do jabłoni i od ananasów do malin i poziomek. Kraina obfitości, błogosławiony zakątek ziemi! Góry Błękitne najwidoczniej zostały wybrane przez przyrodę, jako jedno z miejsc jej wszechświatowej wystawy.

Przez cały czas spuszczania się z gór dokoła wędrowców szumiały setki strumieni; ze szczelin skalnych biła zdrowa woda kryniczna, wznosiła się para ze źródeł mineralnych, a wszędy wiało miłym chłodem, o którym dawno zapomnieli w upalnych Indjach.

Podczas pierwszej nocy w powrotnej drodze spotkała ich zabawna przygoda. Baddagowie, po krótkiej naradzie gwałtem chwycili ich, rozebrali do naga i, nie zważając na ich rozpaczliwy opór, zanurzyli w ciepłą wodę mineralną bajorka, gdzie obmyli im rany i zadraśnięcia. Poczem, trzymając ich kolejno na skrzyżowanych rękach wyżej poziomu wody i akurat nad ciepłą parą, jęli zawodzić coś w rodzaju zaklęć, przy akompanjamencie takich okropnych grymasów i dzikich pokrzyków, pisze Kindersley, „że w pewnej chwili byliśmy przekonani, iż gotują się złożyć nas na ofiarę jednemu z bóstw leśnych".

Lecz Anglicy byli w błędzie, choć dopiero nad ranem przekonali się, jak niesprawiedliwe było ich podejrzenie. Natarłszy im obolałe nogi jakimś ciastem z gliny i ziół, Baddagowie zawinęli ich w ciepłe opończe i „literalnie uśpili nad ciepłą parą źródła". Zbudziwszy się nazajutrz rano, wędrowcy uczuli nadzwyczajną ulgę w całem ciele a szczególniej krzep-kość w muskułach. Wszelki ślad bólu w nogach i stawach znikł, jakby pod działaniem czarów. Stali się zupełnie zdrowi i wzmocnieni. Uczuliśmy popro-stu wstyd wobec tych, tak niesłusznie posądzonych przez nas, dzikusów" — mówi Whish w liście do przyjaciela. Koło południa opuścili się tak nisko, że zaczęło im być dość gorąco, i zauważyli, że przekroczyli Hnję mgieł i znajdują się już po stronie Coimba-tore. Whish pisze, że jednemu nie mogli się dość nadziwić: przy wchodzeniu na góry spotykali wciąż ślady obecności różnych dzikich zwierząt: musieli dobrze wytrzeszczać oczy dokoła i zachowywać wszelkie śro
dki ostrożności, by nic wpaść na legowisko tygrysa, nie natknąć się na słonie lub stado czytt.., *) „Teraz zaś w powrotnej drodze, las jakby wymarł: nawet ptaki szczebiotały, zda się, w oddali, nie podlatując ku nam... Nie przebiegł nam drogi nawet rudy zając". Baddagowie wiedli ich wdół wąziutką, krętą i ledwie widoczną ścieżką, nie przecinaną, najwidoczniej, żadnemi przeszkodami.

Przed samym zachodem słońca wyszli z lasu i niebawem zaczęli spotykać mieszkańców siół podgórskich. Lecz nie doszło do zapoznania ich z przewodnikami. Dostrzegłszy zdaleka gromadę powracających z roboty kulisów, Baddagowie zniknęli w okamgnieniu, skacząc ze skały na skałę, niby stado wystraszonych małp. W tak cudowny sposób ocaleni Anglicy zostali znowu sami. Lecz teraz znajdowali się na skraju lasu i wszelkie niebezpieczeństwo minęło.

Przywołali ludzi i dowiedzieli się od nich, że są prawie w Malabarze, w Uindi, t.j. w okolicy djame-tralnie przeciwległej w stosunku do Coimbatore. Cały łańcuch górski odgradzał ich w ten sposób od wodospadu Colacambe i wsi, z której wyruszyli. Malabar-czycy wyprowadzili ich na trakt, i na odwieczerz znaleźli się już pod gościnnym dachem munsyfa (sołtysa) małej wioski. Nazajutrz wystarali się o konie i wieczorem pomyślnie przybyli do znanej im wsi, tej sa-mej, z której puścili się w drogę w zaklęte góry akurat dwanaście dni temu.

*) Czytta — ptak drapieżny z gatunku sępów.

Wieść o pomyślnym powrocie bluźnierczych saa-bów z siedliska bogów rozeszła się po wsi i jej okolicach lotem strzały, „Dewy nie ukarały zuchwalców — nie tknęły nawet feringów (obcych), którzy tak śmiało wdarli się w ich, od wieków zamknięte przed resztą świata, dzierżawy... Co to znaczy? Czyżby oni byli wybrańcami Saddu?..." Oto co szeptano, opowiadano sobie i komunikowano z sioła do sioła, póki fakt ten nie stał się niezwykłym wypadkiem dnia. Bramini zachowywali złowrogie milczenie. „Taka tym razem — mówili starcy — wola błogosławionych dewów; lecz co pokaże przyszłość? To tylko im samym (t. j. bogom) wiadome". Poruszenie umysłów rozszerzyło się daleko poza granice powiatu. Całe tłumy zabobonnych Drawidów ściągały, by padać plackiem przed Anglikami i składać im wszystkie przewidziane dla „wybrańców bogów" honory. Geometrzy tryumfowali. „Brytyjski prestiż" puścił głębokie korzenie i utrwalił się na długie lata u podnóża Gór Błękitnych.

II

Dotychczas, nie bacząc na dane, zaczerpnięte przeżeranie z drukowanych opowiadań Kindersleya i Whisha, cała ta historja wygląda jednak na bajkę. Nie chcąc, by mnie posądzono nawet o przesadę, prowadzę dalszy opis wedle słów samego coimbatorskie-go *zarządcy,* „wielce szanownego" (Hight Honourable) J. Sullivan'a, z ogłoszonych w owym roku drukiem jego raportów dla Wschodnio-Indyjskiej Kompanji. W ten sposób nasza opowieść nabierze czysto oficjalnego charakteru. Nie będzie już, jak to się mogło wydawać dotąd, wyciągiem z napoły fantastycznej relacji ledwie żywych, głodnych myśliwców, w paro-ksyzmie wywołanej przejściami maligny, ani też powoływaniem się na bajdy zabobonnych Drawidów — lecz dosłownem powtórzeniem doniesień urzędnika angielskiego ł wywodem z jego późniejszych prac statystycznych, dotyczących Gór Błękitnych, Mr, J, Sul-livan mieszkał w Nilghiri i rządził jego pięciu szczepami długi czas. Pamięć o tym sprawiedliwym i dobrym człowieku nie zniknie tu jpszcze *przez* wiele lat — jak żyje dotychczas w tych górach, uwieczniona przez wybudowany *przezeń* Utta-Camand, ze swojem uroczem jeziorem i kwitnącemi ogrodami, a jogo książki, dostępne dla każdego, służą za świadectwo i potwierdzenie tego, co czytelnik znajdzie dalej.

Sprawdziwszy w czasie własnego pobytu w górach dokładność badań nad Toddami i Kurumbami całej gromady urzędników i misjonarzy i porównawszy spostrzeżenia ich z danemi z książek Mr, Sulli-vana oraz z ustnych informacji generała Morgana i jego żony — ręczę za autentyczność wiadomości o tych zagadkowych plemionach górskich Indji. Kronikę prowadzę dalej od tego dnia, gdy po swem ocaleniu geometrzy powrócili do Madrasu,

Słuchy o nowoodkrytej ziemi i jej mieszkańcach, gościnności, a szczególnie o przysłudze, wyświadczonej przez Toddów bohaterom pierwszego rozdziału, urosły dzięki stugębnej famie do takich rozmiarów, że władze W,-I, Kompanji ocknęły się i zabrały wreszcie energicznie do *dzielą.* Posłali umyślnego z Madrasu do Coimbatore. *Teraz* podróż tę można odbyć w dwanaście godzin, lecz wówczas wymagała ona dwunastu dni. Przyszedł *rozkaz od* władz naczelnych do naczelnika powiatu (t, zw, kolektora)': „Poleca się panu kolektorowi, Mr. Johnowi Sulliyanowi, zbadać i sprawdzić brednie o „Górach Błękitnych"
1 niezwłocznie złożyć raport władzy przełożonej".

Nie tracąc czasu, kolektor zorganizował wyprawę *).

*) Opis tej nowej ekspedycji w krainę Toddów, ogłoszenie jej za posiadłość Imperjum Brytańskiego oraz dane natury

Wreszcie wpadli na ślad istotnych mieszkańców i władców gór Nilghitskich, Toddów i Kurumbów. Żeby nie wracać do tego przedmiotu, powiemy już teraz, że Baddagowie pojawiali się niekiedy na polanach Coimbatore, gdzie mieszka pokrewny im szczep — natomiast ani Toddów, ani Kurumbów krajowcy podgórza zupełnie nie znali. I teraz, (autorka pisze to w r. 1882), gdy oddawna istnieje prawidłowa, codzienna komunikacja między Uttacamandem a Madrasem, olbrzymy i karły nigdy nie schodzą ze swych gór. Długo nie wiedziano, czemu przypisać takie nienaturalne milczenie Baddagów o istnieniu dwóch, razem z niemi mieszkających ras. Teraz doszli Anglicy do przekonania i zdaje się, całkiem słusznego, że tajemnicę tę należy sobie tłomaczyć jedynie przesądem, którego źródło i przyczyna wciąż zresztą są dla Europejczyka niepojęte — dla każdego zaś tubylca zupełnie zrozumiałe. Nie mówili Baddagowie o Tod-dach dlatego, ponieważ Toddowie to dla nich istoty nieziemskie, które ubóstwiają; a wymawiać imiona swych familijnych, raz obranych bóstw *) to w oczach

fizjograficznej z raportu Suliivana — wobec wyznaczonej objętości polskiego przekładu — opuszczam i podejmuję opowiadanie autorki od miejsca, w którem wyprawa wpadła na ślady siedlisk prawowitych władców Nilghiri. Przyp. tłom.

*) Każda rodzina Indusów, choćby należała do jednej kasty i jednej sekty z innemi rodzinami, wybiera sobie swoje własne, *familijne* bóstwo, z 33 milionów narodowego panteonu; i o tem bóstwie, choć wszystkim członkom rodziny jest ono wiadome, nie mówią nigdy, uważając każde wymówione o niem słowo za *pTnfanarję.*

Indusa najwyższa dla tych bóstw znirwaga, wyszydzanie, na co nie waży się żaden krajowiec, nawet pod grozą śmierci. A Kurumbów nienawidzą oni, lękając się ich tak, jak Toddów ubóstwiają. Samo choćby cicho wymówione imię „Kurumb" ściąga, według ich mniemania, nieszczęście na tego, kto je wymawia.

Gdy uczestnicy wyprawy znaleźli się na wysokości 7000 stóp i weszli na falistą rozległą polanę, znaleźli tu u podnóża skały grupę budowli, w których Kindersley i Whish natychmiast rozpoznali widziane już przez nich domy Toddów. Kamienne budynki bez okien i drzwi, z ich piramidalnetni dachami, zbyt dobrze utkwiły im w pamięci, by mogli je zapomnieć. Zajrzawszy wewnątrz *przez* jedyny otwór, służący w tych domach wraz za okno i wejście, nie znaleźli w nich nikogo, choć wyraźnie były one zamieszkałe. Dalej, o jakieś dwie mile od tej pierwszej „wsi", ujrzeli:

„...Obraz, godny pędzla malarza, przed którym zatrzymaliśmy się w nieopisanem zdumieniu, a towarzyszący nam krajowcy-sipaje w wielkim zabobonnym strachu" — doniósł kolektor. — „Przed naszymi oczyma ukazała się scena jakby z życia patrjarchów zamierzchłych czasów. W różnych miejscach rozległej, obramowanej dokoła urwiskami doliny pasły się stada ogromnych bawołów z dzwonkami i srebrnemi grzechotkami na nogach.., A dalej — grupa długowłosych, z siwemi brodami, o dostojnym wyglądzie starców, zawiniętych w białe opończe..."

To była, jak dowiedzieli się potem, starszyzna,
oczekujących na nich Toddów i poświętne bawoły To-uela (zagrody chramu) tego plemienia. Wokół nich wpółleżeli, siedzieli, chodzili i stali, „w pozach, od których bardziej malowniczych nie można sobie wyobrazić", mężczyźni z odkrytemi głowami. Było ich z osiemdziesięciu. Na sam widok takich „pięknych, rosłych Goljatów", pierwszą myślą, jaka błysnęła w głowie szanownego Anglika i patrjoty, była ewentualna możliwość „sformowania z tych zuchów specjalnego oddziału i posłania go do Londynu, jako podarek dla króla!..," Później sam Sullivan ujrzał nie-praktyczność takiej myśli; lecz w pierwszych dniach Toddowie olśnili go i całkowicie oczarowali swą uderzającą, zgoła nie induskiego typu, pięknością", O jakich dwieście kroków od mężczyzn siedziały ich kobiety, z długiemi, gładko zaczesanemi z przodu i roz-puszczonemi na plecach włosami i w takich samych opończach. Naliczył ich z piętnaście, a z niemi z pół-tuzina dzieciaków, zupełnie gołych, nie bacząc na chłód styczniowy.

W innym opisie gór*) towarzysz Sulłivana, pułkownik Hennesey rozwodzi się na dziesięciu stronicach o różnicy między Toddami a właściwemi Indusami, z któremi wobec nieznajomości języka i obrzędów Toddów długi czas ich mieszano.

„Jak Anglik różni się od Chińczyka, tak Todd odróżnia się we wszystkiem od innych krajowców" — pisze, — „Teraz, gdy poznałem ich lepiej, staje się dla mnie prawie zrozumiałem, dlaczego Beddagowie, któ-

* *The Tribes of the Nilgfierry Hllls.*

rym pokrewny szczep spotykaliśmy i przedtem, w górach Majsuru, patrzą na tych ludzi, jak na wyższą , niemal boską rasę... Toddowie istotnie podobni są do bogów, tak, jak ich przedstawiali starożytni Grecy. Śród kilkuset junaków (fine men) tego szczepu nic widziałem jeszcze ani jednego, któryby miał mniej niż 6 i jedna czwarta stóp wzrostu. Zbudowani są wspaniale i rysy twarzy mają czysto klasyczne... Proszę dodać czarne, lśniące, gęste włosy, obcięte równo na czole, a za uszami spadającą na plecy ciężką masę kędziorów — a otrzyma się pewne wyobrażenie o ich urodzie. Wąsy ich i brody, których nigdy nie strzyga, są też krucze. Wielkie czarne, czasem ciemnotalowe a nawet niebieskie oczy patrzą na was głębokiem, miłem, prawie kobiecem wejrzeniem... Usta, nawet u sędziwców, ozdabiają mocne, białe, często wspaniałe zęby. Cera twarzy jaśniejsza, niż gdziekolwiek w Indjach. Ubierają się wszyscy jednakowo: rodzaj rzymskiej białej togi z płótna; jeden koniec zarzucony naprzód pod prawe ramię a potem wtył na lewe, W rękach laska z fantastycznemi wycięciami. Gdy dowiedziałem się o jego mistycznem *przeznaczeniu i* wierze właścicieli w jego magiczną siłę, ten mały, długości półtrzeciej stopy bambus nieraz wywoływał we mnie nieprzyjemne uczucie. Lecz nie śmiem, nie mam prawa, widząc *nieraz* to, co widziałem, zaprzeczać słuszności takiego ich oświadczenia i wiary. v Pomimo iż w oczach chrześcijanina wiara w magję zawsze winna się wydawać grzeszną, nie poczuwam, się w prawie obalać i wyśmiewać to, co uważam, nie bacząc na wstręt, za fakt niezbity".

Słowa te zostały napisane przed wielu laty. Zarówno Sullivan jak i Hermesey widzieli wtedy Toddów po raz pierwszy i odzywali się o nich oficjalnie. Lecz nawet w tej urzędowej relacji o faktach słyszy 4g się niepewność, przegląda z niej to samo powściągliwe zdziwienie i ciekawość w stosunku do tego tajemniczego szczepu, które widać i we wszystkich innych publikacjach.

„Co to za jedni?" — zastanawia się Sullivan w swym raporcie. — „Choć widzieli białych już po raz wtóry, ich imponujący spokój i dumna postawa zbiły mnie z tropu, tak mało ich zachowanie się było podobne do tego, cośmy przywykli widzieć w przypodchlebnych manierach induskich krajowców. Oni jak gdyby oczekiwali naszego przybycia. Z gromady wystąpił wysoki starzec i ruszył na nasze spotkanie; za nim szło dwóch jeszcze, niosąc w rękach czary z kory, napełnione mlekiem. O kilkanaście kroków od nas zatrzymali się i zaczęli do nas przemawiać w nieznanym nam zupełnie języku. Widząc, że nie zrozumieliśmy ani słowa, natychmiast zamienili go na
W mało-jalimski, a potem na kanarezyjski, (którym mówią Baddagowie), poczem rozmówiliśmy się łatwiej. Dla tych dziwnych tuziemców my byliśmy jakgdyby ludźmi z innej planety. „Wy nie jesteście z naszych gór. Nasze słońce to nie wasze słońce i nasze bawoły są wani nieznane" — mówili do mnie starcy. — „Wy rodzicie się, jak rodzą się Baddagowie, a nie my" (?!) — zauważył drugi, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, Z ich słów slawało się dla ims jasne, że byliśmy dla nich mieszkańcami ziemi, o której coś niecoś wiedzieli, choć dotychczas nigdy nie widzieli ani jej, ani ludzi, tam żyjących, lecz, że samych siebie uważali za szczególną, osobliwą rasę".

Kiedy wszyscy przybysze zasiedli na gęstej trawie, w pobliżu starców, a reszta Toddów stanęła zdała, oświadczono Anglikom, że spodziewano się ich już od kilku dni. Baddagowie, służący Toddom do owej chwili za jedyny łącznik między niemi, a resztą świata t. j. Indjami, zdążyli już ich uprzedzić, że biali radżowie, dowiedziawszy się od dwóch ocalonych przez Toddów myśliwców o „siedzibie bawołów", idą do nich w góry. Oznajmili jednocześnie Mr. Sullivanowi, że od wielu już pokoleń istniało u nich proroctwo, głoszące, że przyjdą do nich ludzie zza morza i osiedlą się u nich, jak przedtem osiedlili się Baddagowie; że będą musieli

ustąpić im część posiadłości i żyć z niemi, jak bracia, tworząc jedną rodzinę. „Taka ich wola"— dodał jeden ze starców, wskazując bawoły— „oni lepiej wiedzą, co dla ich dzieci dobre a co złe".

Na to Mr. Sullivan czyni taką uwagę w swej relacji: „Wówczas nie zrozumieliśmy tego zagadkowego zdania o bawołach ł w przyszłości dopiero dowiedzieliśmy się jego znaczenia. A sens, chociaż dziwny, lecz zgoła nie nowy dla nas — w Indjach, gdzie na krowę patrzą, jako na istotę świętą i nietykalną",

W Toddach, nie bacząc na ich własne podania,przy których trwają uporczywie, angielscy etnolodzy pragnęliby widzieć szczątki „pewnego dumnego plemienia", którego zresztą ani nazwa, ani cechy nie są im wiadome. Na takiej mocnej podstawie budują swoją hypotezę, polegającą na tem, że to dumne plemię „prawdopodobnie" zajmowało ongi (a mianowicie kiedy — niewiadome) nadrzeczne niziny Dekkanu; pasło swoje poświętne stada bawołów, (które, nie od rzeczy tu dodać, nigdy w Indjach nie były uważane za poświętne), nadługo przed epoką, w której ich późniejsze rywalki, krowy, zmonopolizowały pobożność narodową. Następnie przypuszcza się, że to samo dumne plemię „w okrutny sposób odpierało i powstrzymywało inwazję przychodzących wciąż zza północnych gór (t. j. Himalajów) plemion aryjskich lub Max-Mullerowskłch brahmanów „z Oksusu".

Ta wdzięczna i na pierwszy rzut oka prawdopodobna hypoteza, niestety, rozlatuje się w kawałki wobec znanego faktu, że Toddowie, choć istotnie są „dumnem plemieniem" nietylko sami nie noszą żadnej broni, lecz nie zachowali o niej nawet najsłabszego wspomnienia. A skoro, jak powiedziano, nie mają przy sobie noża dla obrony przed dzikim zwierzem, ani nawet psa dla nocnej ochrony, to widocznie posiadają oni inne sposoby odpierania wroga, niż siłę oręża. Zdaniem Mr. Sullivana, Toddowie zupełnie słusznie zgłaszają prawa do Gór Błękitnych, jako do swej odwiecznej posiadłości. Głoszą je, a mieszkający obok nich od stuleci sąsiedzi potwierdzają to prawo dawności własną świadomością. Wykazują jednogłośnie, że Toddowie władali już górami, gdy zjawili się najwcześniejsi osadnicy z innych plemion, mianowicie, Mułłu-Kurumbowie, za niemi Baddago-wie, a za Baddagami Chottowle i Erullarzy; że wszystkie te plemiona prosiły Toddów, którzy poprzednio mieszkali tu sami, i otrzymali od nich pozwolenie osiedlania się w górach. Za to przyzwolenie wszystkie cztery szczepy zawsze płaciły Toddom daninę, nie pieniędzmi, gdyż do czasu zjawienia się Anglików pieniądze były nieznane w górach, lecz w naturze: pewną ilość ziarna z każdego uprawianego pola od Baddagów; narzędzia *żelazne,* niezbędne do budowy domów i gospodarstwa domowego, od Chottów: korzenie jadalne, jagody i owoce od Kurumbów i t.d.

Wszystkie te pięć ras we wszystkiem jaskrawo różnią się jedna od drugiej, jak to zaraz zobaczymy poniżej. Ich języki, wierzenia, obyczaje, tak samo jak typy, nie mają za sobą nic wspólnego. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wszystkie te plemiona to resztki przedhistorycznych ras autochtonów Indji Południowych, lecz, jeśli i dowiedziano się czegoś o Bad-dagach, Chottach, Kurumbach i Erullarach, na Tod-dach historja ugrzęzła, jak na mieliźnie. Sądząc ze starożytnych grobowców na „wzgórzu" oraz niektórych ruin gontyn, nie tylko Toddowie, lecz i Kurum-bowie zapewne osiągnęli jeszcze w czasach przedhistorycznych pewien stopień cywilizacji: Toddowie mają niewątpliwie coś w rodzaju pisma, jakieś znaki,*, przypominające napisy klinowe starożytnych Persów.

Ale czemkolwiek byli Toddowie w zamierzchłej przeszłości, teraz są ludem zgoła patryarchalnym, którego całe życie ogniskuje się na jego poświętnych bawołach,

Z tego wielu piszących o Toddach wyciągnęło wniosek, że czczą bawoły jako bóstwa, to jest wyznają zoolatrję. Lecz jest to zapatrywanie błędne. O ile nam wiadomo, religja ich ma charakter o wiele wznioślejszy, niż zwykłe i ordynarne ubóstwianie zwierząt.

Drugi i dalsze raporty Mr. Sullivana są jeszcze bardziej interesujące. Lecz, ponieważ cytuję słowa szanownego urzędnika angielskiego tylko dla potwierdzenia własnych spostrzeżeń i uwag, nie tu miejsce na powtarzanie ich. Pozwalam sobie jedynie przedstawić jeszcze niektóre uwagi statystyczne, zarówno jego, jak i innych urzędników, o pięciu szczepach Nilghiri.

Oto zwięzłe informacje z pracy statystycznej o nich pułkownika Torntona:

„1) Pierwszych, na zboczach gór, za rubieżą wodospadu, spotyka się Erullarów. Mieszkają oni w istotnych norach ziemnych i żywią się korzonkami. Teraz, po przybyciu Anglików, stali się mniej dzikie-mi. Żyją skupinami, po trzy do czterech rodzin, i liczą ich na tysiąc głów.

2) Powyżej mieszkają Kurumbowłe. Ci dzielą się na dwa rozgałęzienia: a) poprostu Kurumbowie, zamieszkujący lepianki, które tworzą osiedla, i b) MuŁ-łu-Kurumbowie, o ohydnym wyglądzie i niezwykle małego wzrostu ludzie, żyjący w przedziwnych gniazdach na drzewach i podobni bardziej do dużych małp, niż do istot ludzkich".

Uwaga. Choć i w innych okolicach Indji są szczepy, podobne w ogólnych rysach i nawet noszące takież miana, różnią się one jaskrawo od tych dwóch szczepów, szczególnie od Kurumbów, straszydeł i złych duchów, unikanych przez wszystkie inne plemiona, prócz Toddów, królów i władców w Górach Błękitnych. ;

Kurumban — wyraz tamilski, znaczy „karzeł"; lecz, gdy Kurumbowie nizin to poprostu mali tubylcy, nilghirscy Kurumbowie często nie przewyższają trzech stóp wysokości. Oba te szczepy (Kurumbowie gór i Erullarzy) nie mają nawet pojęcia o niezbędnych, najelementarniejszych potrzebach życiowych i nie wyszły ze stanu zupełnych dzikusów, wykazując cechy najpierwotniejszej rasy ludzkości. Mówią językiem, bardziej przypominającym szczebiot ptaków i gardłowe dźwięki małp, niźli mowę ludzką, choć niekiedy trafiają się u nich słowa z wielu starych narzeczy drawidyjskich Indji. Liczebność Erullarów i Kurumbów nie przenosi tysiąca w każdym szczepie..

3) Kochtarzy albo Choty to jeszcze dziwniejsza rasa. Nie mają pojęcia o rozróżnianiu kast i nie są podobni ani do innych plemion górskich, ani do krajow-ców-Indusów. Równie dzicy i pierwotni jak Erullarzy i Kurumbowie, mieszkając jak krety w norach i na drzewach, są—rzecz szczególna—wybornemi złotnikami, płatnerzami i garncarzami. Posiadają oni sekret wyrabiania stali i żelaza; ich noże i inna broń sprężystością, wyostrzeniem i swą prawie niezniszczalną trwałością przewyższają wszystką wyrabianą kiedykolwiek w Azji łub Europie. Kochtar nie uży-wa innej broni prócz ważkiego obosiecznego jakby rożna. Idzie z nim i na dzika i na tygrysa, nawet na słonia i zawsze pokonywa zwierza *). Kochtarzy nie wyjawiają swej tajemnicy za żadne pieniądze. Żaden szczep w górach nie zajmuje się takiem rzemiosłem. Gdzie mogli oni zapoznać się z niem, to jeszcze jedna z zagadek dla naszych etnologów. Religja ich nie ma nic wspólnego z religjami innych autochtonów, Kochtarzy nie mają wyobrażenia o bogach braminów i oddają część jakimś fantastycznym bóstwom, nie mającym swych wizerunków. Liczba Kochtarów, według zebranych przez nas wiadomości, nie przekracza półtrzecia tysiąca,

4) Baddagowie albo „biirgerzy". Najliczniejsze, najbogatsze i najbardziej cywilizowane ze wszystkich pięciu górskich plemion Nilghiri, Są to brami-miści i dzielą się na kilka klanów. Jest ich około dziesięciu tysięcy i prawie wszyscy trudnią się rolnictwem, Baddagowie niewiadomo dlaczego oddają cześć boską Toddom; stoją oni w oczach Baddagów daleko wyżej od ich boga Sziwy.

5) Toddowie, nazywani także Todduwarami, Ci

") Teraz, gdy dawno stało się wiadome, że Kochtarzy posiadają takł sekret, wszyscy starają się zamawiać u nich noże i dają broń do wyostrzenia. Za zwykły, z ordynarną rękojeścią nóż, zrobiony przez Kochtara, płaci się kilka razy więcej niż za nóż z najlepszej szeffildskiej stali.

dzielą się na dwie duże kasty. Pierwsza z nich, kasta kapłanów, znana jest pod nazwą teralli; należący do niej Toddowie poświęcają się służeniu bawołom, skazali się na bezżeństwo i wykonywują jakieś niepojęte obrzędy, które bardzo starannie ukrywają przed Europejczykami i nawet przed wszystkiemi, nienależące-mi do ich szczepu, krajowcami. Druga kasta to kutto-wie, zwykli śmiertelnicy. O ile nam wiadomo, pierwsi stanowią arystokrację plemienia. W tem nielicznem plemieniu narachowaliśmy siedemset osób i, sądząc z informacji Toddów, liczebność ich nigdy nie przewyższała tej cyfry".

Żeby pokazać, iż temat tej opowieści zasługuje bezwzględnie na uwagę, dodam do powyższych rewelacji opinję autorów książki, wydanej w r. 1853 na zlecenie Wschodnio-Indyjskłej Kompanji „The States of India". W rozd/iale, traktującym o Nilghiri, mówi się o Toddach co następuje:

„To maleńkie plemię ściągnęło w ostatnich latach na siebie pełną zachwytu uwagę nietylko odwiedzających Nilghiri, lecz i londyńskich etnologów. Zainteresowanie, wzbudzone przez Toddów, jest nader znamienne. Zjednali sobie oni niezwykłą (in no ordinary degree) sympatję władz madraskich. Tych dzikusów opisują jako wspaniale zbudowaną atletyczną rasę ol-brzymów, znalezionych w zgoła nieoczekiwany sposób w łonie gór. Ich zachowanie się jest pełne wdzięku i godności, a powierzchowność można opisać tak". Tu następuje już znany opis powierzchowności Todów.

Ustęp o nich kończy się zaznaczeniem faktu, na który umyślnie kładę nacisk, wobec jego znamiennego i bezpośredniego stosunku do wyjaśnienia zdarzeń, jakich byliśmy świadkami, i *zarazem* przyznaniem się do zupełnej niewiedzy co do ich dziejów i pochodzenia:

„Toddowie nie używają żadnej broni, prócz krótkiej trzciny bambusowej, której nigdy nie wypuszczają z prawej ręki. Wieloletnie starania, by dowiedzieć się czegoś o ich przeszłości, o języku i religji, nie doprowadziły do żadnych wyników. Jest to najbardziej tajemnicze plemię ze wszystkich narodowości Indji" (tamże, str. 692).

W krótkim czasie Mr. Sullivana zupełnie podbili „Nilghirscy Adonisi", jak Toddów przezwali osadnicy i plantatorzy w Górach Błękitnych. Był to pierwszy, być może, jedyny przykład w Indjach angielskich, żeby wysoki urzędnik, bar-saab, otwarcie bratał się, nawiązywał tak bliskie, przyjacielskie stosunki z pod-władnemi mu autochtonami, jak to czynił coimbator-ski kolektor. W nagrodę za podarowanie Kompanji jeszcze kawałka terytorjum w Indjach, niezwłocznie awansowano go na „głównego administratora Gór Błękitnych". Tam Mr. Sullivan przeżył około trzydziestu lat; tam też umarł.

Co go tak pociągnęło do tych ludzi? Co mógł mieć w samej rzeczy wspólnego cywilizowany Europejczyk z ludźmi tak zupełnie prymitywnemi, jak Toddowie? Na to pytanie, jak i na wiele innych, nikt nam jeszcze nie mógł dać odpowiedzi. Czy nie można tego objaśnić tem, że wszystko, nieznane, tajemnicze, pociąga nas, niby pusta przestrzeń i, wywołując zawrót głowy, wabi ku sobie, jak otchłań? Z praktycznego punktu widzenia, oczywiście, Toddowie nie są niczem więcej jak dzikusami, nieznającemi się na podstawowych zasadach naszej cywilizacji i nawet z wyglądu, nie bacząc na swą fizyczną piękność, dosyć brudnemi. Lecz idzie tu nie o ich zewnętrzność, a o wewnętrzny, duchowy świat tego ludu. Po pierwsze, Toddom obce jest zupełne kłamstwo. W ich języku niema nawet zupełnie takich słów, jak „nieprawda" lub „kłamstwo". Kradzież lub choćby przywłaszczenie sobie czegoś, co do nich nie należy, również są im nieznane. Wystarczy przeczytać, co o nich mówi kapitan Harkness w książce swojej, zatytułowanej „Dziwne plemię autochtonów": *)

„...Przeżyłem około dwudziestu lat w Uttacaman-dzie i twierdzę stanowczo, że nie spotkałem nigdy ludu, zarówno w krajach cywilizowanych, jak i w pierwotnych, któryby żywił takie religijne poszanowanie prawa „meum et tuum", jak Toddowie. Wdrażają to poczucie dzieciom od maleńkości. My (Anglicy) nie znaleźliśmy śród nich jeszcze ani jednego zlqdzieja!.„ Oszustwo i kłamstwo są im nieznane „wydają się niemożliwe" (Str. 18). I dalej: „Jak i u krajowców nizinnych okolic Indji Południowych, kłamstwo w przekonaniu tego plemienia to najnikczemniejszy, niewybaczalny występek. Za praktyczny dowód tego, wrodzonego im uczucia służyć może ich jedyna świątynia na cyplu Toddabet, poświęcona bóstwu - Prawdzie

*) *„A itrange aborigenal race"* by captain Herkness, str. 37.

(Tempie of Truth). Podczas gdy śród mieszkańców dolin zarówno symbol, jak i samo bóstwo zbyt często są zapominane, Toddowie oddają cześć obydwóm, żywiąc i dla idei i dla symbolu, w teorji i w praktyce, najszczersze, niewzruszone uczucie szacunku"... .

Otóż właśnie taka czystość moralna Toddów i ich rzadkie zalety duchowe pociągnęły nietylko Mr. Sulli-vana, lecz i wielu misjonarzy. Należy wziąć pod uwagę *znaczenie* takiej pochwały w ustach ludzi, nieprzywykłych do odzywania się z uznaniem o tych, na których oni sami nie wywarli najmniejszego wrażenia *). A na Toddach przybycie misjonarzy i wogóle Anglików od pierwszego do ostatniego dnia wywarło nie większe wrażenie, niż gdyby te dzikusy były kamien-nemi posągami, nie żywemi ludźmi. Znaliśmy misjonarzy, a nawet jednego biskupa, którzy nie zawahali się stawiać moralności Toddów za przykład swej, „wysokourodzonej" owczarni, publicznie w kościołach na niedzielnem kazaniu.

Lecz jest w nich istotnie coś *jeszcze* więcej pociągającego, jeśli nie dla publiczności wogóle a statystyków w szczególności, to dla tych, którzy poświęcili się całkowicie zbadaniu bardziej oderwanej strony natury ludzkiej: mianowicie, tajemniczość, którą czują wszyscy w Toddach, i ta siła psychiczna, jaką posiadają w niezwykłym stopniu. O lem będziemy mieli dalej dużo do powiedzenia.

*) Dotychczas, t. j. do r. 1883, mimo wszelkie wysiłki misji, nie było ani jednego przykładu nawrócenia Todda na wiarę chrześcijańską.

Kolektor, spędziwszy w górach dziesięć dni, wrócił do Coimbatore, a stamtąd udał się do Madrasu, żeby osobiście złożyć całkowite sprawozdanie głównemu zarządowi Kompanjł ze swej podróży w Góry Błękitne. Dopełniwszy tego obowiązku, Sulliwan niezwłocznie powrócił do nęcącej go krainy i do mocno go już interesujących Toddów. Tam on pierwszy zbudował sobie dom europejski, „na który każdy kamień przynieśli mu Toddowie".

Od pierwszego dnia kolektor stał się druhem, opiekunem i protektorem Toddów i w ciągu lat trzydziestu kruszył o nich kopje, broniąc tych ludzi i ich interesów przed chciwością i wyzyskiem Wschodnio-Indyjskiej Kompanji, Nie mówił o nich w papierach urzędowych inaczej.jak o „prawnych właścicielach ziemi" (the legał lords of the soil) i zmusił „szanow- t nych ojców" do liczenia się z Toddami, W ciągu długich lat Kompanja płaciła im czynsz dzierżawny za odstąpione przez nich lasy i łąki. Póki żył Sullivan, nikomu nie było wolno krzywdzić i zagarniać ziemię na terenach, które Toddowie uprzednio wskazali Anglikom, jako swe poświętne pastwiska i zawarowali sobie ich nietykalność w umowach.

Efekt relacji Mr. Sullivana w Madrasie był olbrzymi. Kto tylko skarżył się na klimat, kto cierpiał na wątrobę, febrę i inne choroby, któremi lak hojnie obdarzają Europejczyków zwrotniki, a miał środki na podróż — wszystko to rzuciło się w kierunku Coimbatore. Z nędznej osady Coimbatore stało się w kilka lat miastem powiatowem. Zaprowadzono wnet regu-larną komunikację między Metopollamem, u podnóża Nilghiri a Uttacamandem *), miasteczkiem, założonem w roku 1822 na wysokości 7500 stóp. Niebawem zaczęła się tam przenosić na czas od marca do listopada cała biurokracja madraska. Willa za willą, dom za domem, zaczęły wyrastać na kwietnych stokach gór, niby grzyby po deszczu. Po śmierci Mr. Sullłvana plantatorzy zawładnęli prawie całą okolicą między Kochtaghiri a Utti. Korzystając z tego, że „właściciele gór" wymówili sobie najwyższe miejsca na Nilghiri na pastwiska dla „świętych" bawołów, Anglicy zagarnęli dla siebie dziewięć dziesiątych Gór Błękitnych. Misjonarze skorzystali z okazji, żeby wyszydzić krajowców i ich zabobonne wiarę w bóstwa i duchy górskie. Nic to nie pomogło. Baddagowie w dalszym ciągu .trzymali się swych specjalnych poglądów na rasę Tod-dów, choć ci w krótkim czasie musieli zadowolić się nagiemi szczytami skał. „Ojcowie" kompanji, a po nich i biurokraci państwowi, choć nadal na papierze tytułowali Toddów „prawnemi właścicielami ziemi", w samej rzeczy i podchmieliwszy sobie, jęli podawać siebie, jak zawsze, za „lordów nad baronami" *).

Na Kurumbów narazie nie zwracali uwagi. Przy pierwszem pojawieniu się Anglików, Kurumbowie,

*) Wszyscy je nazywają w skróceniu „Utli". Tak w dalszym ciągu i my będziemy je nazywać.
*) Tak nazywają Anglików *v* Radźystanie, gdzie oni oficjalnie tytułują radżów „baronami" — *Ihe feuJal barons of Raji-ilan* — a sami przy każdej sposobności przypominają im, że są tylko ich *wasalami.*

jakgdyby istotnie byli tem, na co wyglądali, ohydne-mi gnomami, przepadł i bez śladu. Nie słyszano o nich, ani nie widziano ich zupełnie w pierwszych latach po odkryciu. Potem zaczęli powoli ukazywać się i osiedlać na moczarach i pod okapami wilgotnych skał. Jednakże niebawem dali znać o sobie. W jaki sposób — o tem potem; obecnie zajmiemy się naprzód Toddami i Baddagami.

Gdy Anglicy zaczęli porządkować i opisywać nowe gospodarstwo, etnolodzy natknęli się na nieprzewidziane trudności i po raz pierwszy bodaj tutaj musieli wyznać, że w sprawie pochodzenia Toddów dowiedzieć się o nich cośkolwiek pewnego jest równie niemożliwe, jak i zaliczyć ich do któregokolwiek z innych plemion Indji. „Łatwiej dotrzeć do bieguna północnego, niż do duszy Todda" pisze misjonarz Metz. Na co odpowiada pułk. Hennesey: „Jedyna wiadomość, jaką zdołaliśmy wydrzeć z nich po tylu latach, wygląda tak: Toddowie twierdzą, że od czasu gdy „król Wschodu" (?) darował im te góry, mieszkają w nich i ani razu nie schodzili z tych wyżyn'. Lecz do jakiego mianowicie okresu mamy zaliczyć epokę tego niewiadomego króla Wschodu? Odpowiadają nam, że mieszkają na „Górach Błękitnych" oto już sto dziewięćdziesiąte siódme pokolenie! Liczmy po trzy pokolenia na każde stulecie (choć widzimy, że Toddowie są wyjątkowo długowieczni) — okaże się, jeśli im wierzyć, iż osiedlili się tutaj około 7000 lat temu. Upierają się przy tem, że praszczury ich przy-byli na wyspę Lankę w tem jak i w innych imionach niema błędu — to jest widoczne) ze Wschodu,
„od strony wschodzącego słońca", i służyli praojcom króla Rawany, legendowego króla - demona, pokonanego przez niemniej legendowego króla Ramę, około dwudziestu pięciu pokoleń wstecz; to znaczy,licząc według przyjętej rachuby około 1000 lat, że jeśli dodamy tę cyfrę do poprzedniej, rodowód ich obejmuje 8000 lat! Okazuje się, iż albo musimy przyjąć tę bajkę, albo otwarcie wyznać, że prócz tych niema żadnych innych śladów ich zagadkowej przeszłości!

Cóż to więc koniec końców za ludzie? Zadanie, oczywiście, trudne, gdy się weźmie pod uwagę, że kwestja ta nie posunęła się ani na krok naprzód od r. 1822. Po dziś dzień starania wielu zjeżdżających tu z Londynu i z Paryża w różnych czasach filologów, etnologów, antropologów i wszelkich innych logów nie zostały uwieńczone najmniejszem powodzeniem. Przeciwnie, im więcej starali się o nich -wywiedzieć, tem mniej otrzymywane wiadomości nadawały się do wyświetlenia kwestji. Cały zdobyty materjał daje się streścić tak: Toddowie nie należą do zwykłej ludzkości. Rodzą się i umierają tylko pozornie; ich misją na ziemi jest osłaniać ich wiernych sług, Baddagów, od podstępów złych Ku-rumbów itd.

Rzecz zrozumiała, iż takie dane nie mogły zna-

*) Cejlon.
*) The *Nilgherri TaJJas,*

leźć dla siebie miejsca w „Ilislorji ludów Indji". W braku pewniejszych wiadomości pp. uczeni pocieszyli się hypotezami własnego wynalazku.

Oto niektóre z nich.

Wśród teoretyków tego zagadnienia pierwszym chronologicznie jest przyrodnik Lechenault de la Tour, botanik króla francuskiego. Jego listy w tej kwestji są bardzo interesujące ze względu na swoją oryginalność (część ich drukowała w latach 1820—21 „Gazeta Madraska"). Szanowny uczony, wskutek jakichś, jemu tylko wiadomych, rozważań, widzi w Toddach wyrzuconych przez rozbicie się statku na brzeg malabarski bretońskich czy też normandzkich krzyżowców. W górach kaukaskich znaleźli się przecie krzyżowcy, uznani w Chewsurach i Tuszyń-cach: dlaczegożby więc nie miało ich być i w górach malabarskich? Z początku myśl ta uśmiechnęła się wielu badaczom.

Niestety rychło została wyjaśniona pewna okoliczność, która odrazu zniweczyła takie poetyczne przypuszczenie: Toddowie nie posiadają nie tylko w swym języku, lecz nawet i w myślach takich słów, jak: Bóg, krzyż, modlitwa, religja, grzech lub jakiegoś podobnego wyrażenia, wskazującego bodaj na monoteizm i deizm, ni mówiąc już o chrześcijaństwie. Toddów niemożna nazwać nawet poganami, ponieważ nie ubóstwiają nikogo i niczego, prócz własnych bawołów, tylko własnych, gdyż bawoły cudze, innych plemion, nie są przez nich wcale czczone. Nabiał oraz owoce i jagody z ich lasów stanowią jedyne pożywienie tych górali; raczej umrą z głodu niż tkną mleka, sera lub masła od innych bawolic prócz ich własnych, świętych karmicielek. Nigdy nie jedzą mięsa, nie sieją i nie orzą, uważając wszelką pracę poza dojeniem bawolic i pasterstwem za coś w rodzaju hańby.

Już taki tryb życia dostatecznie wskazuje, jak mało jest wspólnego między średniowiecznemi krzyżowcami a Toddami. Przytem, jak było już powiedziane, nie umieją oni władać bronią i nigdy nie przelewają krwi, wzbudzającej w nich niejako świętą odrazę. Kaukascy górale na północo-wschód od Ty-flisu, zarówno Pszawy i Chewsury *), jak i Tuszyń-cy, zachowali u siebie wiele średniowiecznego oręża i sprzętów: również widzimy u nich pewne obyczaje chrześcijańskie. Tymczasem u Toddów nie znajdziemy nietylko średniowiecznego, ale nawet zwykłego, współczesnego noża. Wszystko to w związku z głównym, wyżej zaznaczonym faktem, że Toddo-wie nie mają najmniejszego wyobrażenia o bóstwie, czyni teorję Lechenault de la Tour'a zupełnie niewłaściwą.

Potem poszła w kurs choć oklepana, lecz ulubiona i zbawienna w takich wypadkach teorja o Celto-Scytach. Lecz i ta, jak zwykle, padła. Gdy Todd umiera, palą jego zwłoki z zachowaniem ciekawych obrzę-

) Bliższe szczegóły o tem osobliwem plemieniu na Kaukazie znajdzie czytelnik w mojej impresji „U progów Azji", w miesięczniku „Naokoło Świata" n-r październikowy z r. b.' _j
Przyp. tłom.

dów, wraz z jego ulubionym bawołem, a jeśli nieboszczyk należał do kasty kapłańskiej, na ofiarę całopalenia idzie od siedmiu do siedemnastu sztuk tych zwierząt. Lecz bawoły to jednak nie konie; a typ twarzy Toddów, zupełnie europejski, mocno przypominający południowych Włochów lub Francuzów, dosyć trudno uzgodnić z typem Scyta, o ile o nim wiemy. Lechenault de la Tour walczył uporczywie z przeszkodami, lecz gdy go ośmieszono, porzucił natychmiast swą teorję j hypoteza zaś o Scytach, mimo całego bezsensu takiego przypuszczenia, trzyma się w pewnych kołach dotychczas.

Następnie pojawiła się na scenie wciąż pobijana i znowu odżywająca teorja o dziesięciu „zaginionych plemionach Izraela". Misjonarz, Niemiec Metz, przy pomocy niektórych swych współbraci z pośród Anglików, obdarzonych równie bujną wyobraźnią, zaczął z entuzjazmem opracowywać tę teorję. Lecz, dla obalenia tej fantazji wystarczy powtórzyć nieraz już wyżej powiedziane, że Toddowie nigdy nie mieli i nie mają żadnego boga — tem mniej boga Izraela. Trzydzieści trzy lata mieszkał śród Toddów i borykał się z niemi biedny, poczciwy Niemiec, Żył ich życiem codziennem, przenosząc się wraz z niemi z miejsca na miejsce*); mył się raz do roku, żywił się wyłącznie nabiałem, wreszcie roztył się i do-

*) Chociaż Toddowie nie są plemieniem koczowniczem i mieszkają w domach, jednak, wybierając dla swych bawołów jaknajlepsze pastwiska, często przenoszą się z jednego osiedla do drugiego.

stał wodnej puchliny. Przywiązał się do nich całą mocą swej miłującej zacnej duszy i chociaż nie ochrzcił ani jednego Todda, chwalił się, że wyuczył się doskonale ich języka i zapoznał trzy pokolenia Toddów z religją Chrystusa. Lecz gdy zasiągnięto informacji, okazało się, że rzecz przedstawia się zgoła inaczej.

Po pierwsze, dowiedziano się, że Metz nie znał ani słowa z ich języka. Toddowie wyuczyli go narzecza kanarezyjskiego, którym sami mówią z Bad-dagami i z kobietami swego szczepu. Lecz z tego tajemnego języka, w którym starszyzna prowadzi obrady na swych

zgromadzeniach i którego używają podczas swych nieznanych nikomu obrzędów w tiri-ri *). Metz nie rozumiał ani jednego dźwięku. Tego języka nie rozumieją kobiety Toddów, lub może nie wolno im używać go. Co się zaś tyczy chrześcijańskiego oświecenia Toddów, biedny Metz, przywieziony do Utti chory, prawie umierający, wyznał z całą szczerością, że podczas tych trzydziestu trzech lat obcowania z niemi nie udało mu się ochrzcić nawet jednego Todda, ani dorosłego, ani dziecka. Zresztą, miał jednak nadzieję, że „że posiał w nich ziarna przyszłej oświaty".

Lecz i tu czekało go rozczarowanie. Przybyli tu z zachodniego brzegu malabarskiego ojcowie Jezuici, żywiący znów nadzieję wykrycia w Toddach kolonję

*) Święte i bardzo surowo strzeżone przez nich miejsce, niekiedy pod ziemią, za oborą bawołów, *tirieri* jest chramem, poświęconym zupełnie nieznanemu nikomu, prócz Toddów, kultowi.

starożytnych chrześcijan syryjskich lub przynajmniej Manichejczyków *), bardzo długo zbierali informacje. Ze zwykłą im zręcznością zdołali wejść w stosunki z Taddami. Pozyskali oni zaufanie, zawarli znajomość z temi zazwyczaj małomówieniami, poważnemi dzikusami i potrafili dowiedzieć się od nich, ku swej wielkiej radości, — gdyż wolą oni pogan niż protestantów—że Metz mógł był przeżyć z niemi wiek cały w najściślejszej przyjaźni a jednak nie sprawiłby na nich żadnego wrażenia, „Słowa białego człowieka to to samo, co gadanie majny (rodzaj szpaka) lub jazgot małpy" mówili starzy Toddowłe Jezuitom, darząc ich obosiecznym komplimentem. „Słuchamy i uśmiechamy się. Na co nam wasze dewy, skoro mamy nasze wspaniałe bawoły?" dodawali, opowiadając, jak Metz proponował im zamiast wiary w bawoły — wiarę w boga tych, którzy zagarniali im pastwiska i krzywdzili ich codziennie. **)

Nie bacząc na ten sam los, który spotkał Metza, Jezuici ośmieszyli rywala i rozpuścili o nim anegdoty po całych Indjach Południowych.

Działo się to dziesięć lat temu. Odtąd misjona-

*) Przez pewien czas Jezuici starali się dowieść, że Toddowie, jak starożytni Manichejczycy, czczą „światło" słoneczne, księżycowe a nawet zwykłej lampy. Lecz, zresztą to wcale nie dowodzi ich manicheizmu. Toddowie śmiali się z tej idei w rozmowach z generałową Morgan i ze mną. Przeciwnie, mają wstręt do światła księżyca.

) ***Oeuorts tl traoaux dti miaslonairei Ptris Jtitiittt sur lit ctles Ju Malakar* **(str. 233),**

rze obydwóch wyznań zostawili Toddów w spokoju. Teraz oddawna już stało się wiadomem, że wszelkie usiłowania nawrócenia ich byłyby tylko stratą czasu. Nie bacząc na brak w tem plemieniu jakiegokolwiek uczucia religijnego, według jednogłośnych świadectw pisarzy i wszystkich mieszkańców Utti, niemasz w całych Indjach uczciwszego, moralniejszego i lepszego ludu. A przytem Toddowie nietylko nie są tępi, czego dowodem łatwość mówienia w kilku językach, lecz nawet bardzo pojętni. Sullivan wspomina w swych notatkach, że rozmawiał z niemi godzinami i że zdumiewał się, słysząc jak odzywali się o Anglikach, „jak szybko i trafnie pojęli nasz charakter narodowy i dostrzegli wszystkie nasze wady".

Zaznajomiwszy czytelników z Toddami w ogólnych rysach, opowiedziawszy wszystko lub prawie wszystko, co wiadomo o nich w Indjach, mogę przystąpić do opowieści o swych własnych przygodach i spostrzeżeniach śród tego, tak mało znanego i zagadkowego plemienia.

III

Scena w Madrasie, w pierwszej połowie lipca 1883 roku. Dmie wiatr zachodni, poczynając od 7-ej rano, t. j, niebawem po wschodzie słońca, i cichnąc dopiero około 5-ej popołudniu. Dmie tak już sześć tygodni, a końca należy się spodziewać dopiero u schyłku sierpnia. Że u nas mało kto wie, co to jest wiatr „zachodni" w Indjach Południowych, postaram się dać o tym nieubłaganym wrogu Europejczyka choć słabe pojęcie. Wszystkie drzwi i okna, w

których kierunku idzie ten równy, stały, aksamitnie miękki wietrzyk, zasłonięte są gęstemi tatti, matami z wonnej trawy. Wszystkie szczeliny i otwory poutykane watą, uważaną niewiadomo dlaczego, za najlepszą zaporę dla działania zachodniego wiatru. Jednak to mu bynajmniej nie przeszkadza przenikać wszędzie nawet poprzez takie substancje, które byłyby dostatecznie nieprzenikalne dla wody. Wiatr ten przedostaje się nawet przez ściany, i jego równe, spokojne tchnienie wywołuje takie ciekawe zjawisko: na drodze wiatru., zachodniego, książki, gazety, rękopisy i wszelki papier poruszają się jak żywe. Karta za kartą powstaje,niby podnoszona niewidzialną ręką, i pod naporem nie do wytrzymania upalnego tchnienia każda kartka zaczyna skręcać się coraz bardziej, póki się nie skręci w cienką rurkę; poczem kartki jeno się kołyszą, drgając pod każdym nowym powiewem. Na meble i rzeczy kładzie się z początku ledwie dostrzegalny pył, coraz gęstszy. Jeśli pokryje materje, nie wytrze-pie jej już stamtąd żadna szczotka. A na meblach, o ile ich się nie wyciera raz wraz, pod wieczór nagromadzi się takiego kurzu na dwa centymetry.

W taki czas, jedyny ratunek — „panka": otworzyć szeroko usta, odwrócić się twarzą ku wschodowi i siedzieć lub leżeć bez ruchu, wchłaniając powietrze ochłodzone sztucznie przez kołysanie się olbrzymiego, przeciągniętego wpoprzek pokoju wachlarza. Dopiero po zachodzie słońca można oddychać czystem, choć mocno nagrzanem, powietrzem.

W marcu, europejskie towarzystwo madraskie, śladem władz miejscowych, zawsze przenosi się na Góry Błękitne — do listopada. I ja zdecydowałam się emigrować na czas pewien, lecz nie na wiosnę, a właśnie w połowie lipca, kiedy wiatr zachodni zdążył już wysuszyć mnie do szpiku kości. Otrzymawszy zaproszenie w gościnę od przyjaciół, rodziny generała Mor-gana, siedemnastego lipca, nawpół uduszona skwarem, zebrałam raz dwa trzy manatki i o szóstej wie-czorem wsiadłam do pociągu. Nazajutrz przed południem byłam już w Metopolamie, u podnóża Nilghiri.

Tutaj zetknęłam się, oko w oko, z angloindyjską eksploatacją, która u nas zwie się cywilizacją,
a jednocześnie i z Mr, Sullivanem, synem zmarłego coimbatorskiego kolektora, członkiem rady rządowej. Eksploatacja ukazała się w postaci podłego pudła na dwóch kołach z płócienną budą nad niem, za które zapłaciłam już z góry w Madrasie, pod jego pseudonimem „zamkniętej, wygodnej karety na resorach". A Mr. Sullivan wydał mi się duchem opiekuńczym gór, z dużym wpływem, oczywiście na piętrzących się przed nami wyżynach, lecz jak i ja, bezsilnym wobec eksploatacji prywatnych brytańskich spekulantów u podnóża Nilghiri. Mógł mnie tylko po-cieszać. Przedstawiwszy się i opowiedziawszy, że powraca na wezwanie rządu na jego łono, z własnej gdzieś tam plantacji, doraźnie dał mi przykład pokory, siadając bez protestu i jak mógł w drugiej dwu-kółce. Wielcy „wyższej rasy", tak wyniośli wobec braminów, robią się małemi i często drżą *przed* niż-szemi swego narodu — w Indjach. Zauważyłam to nieraz. Być może, lękają się zdemaskowania z ich strony, a bardziej *jeszcze,* zapewne, jadowitego języka i wszechmocnej obmowy. ' ,

Tak sobie wytłomaczyłam zachowanie się członka rady gubernatorskiej, który nie ośmielił się powiedzieć marnego słowa brudnemu funkcjonarjuszowi „agentury do przewozu pasażerów i bagażu z Madrasu na Nilghiri", Gdy ten zuchwale oznajmił, że w górach pada deszcz i nie będzie ryzykował nowego lakieru zamkniętych pojazdów, ponieważ pasażerowie mogą jechać i w otwartych wózkach dwukołowych, ani Mr. Sullivan, ani inni jadący do Utti brytańczycy nie znaleźli dlań jednego bodaj z tych angloindyjskich giestów i spojrzeń, które rzucają na kolana najwyższego urzędem krajowca.

Nie było rady. Siadłszy bokiem na taratajkę, wobec której tonga na drodze do Simli jest jak wagon królewski wobec komórki w wagonach kolei *żelaznych,* gdzie zamyka się psy, zaczęliśmy piąć się pod górę. Dwukółkę ciągnęły dwa żałosne szkielety niegdyś pocztowych kobył. Nie zdążyliśmy odjechać i pół mili, gdy jeden ze szkieletów, słabo podrygawszy tylnemi kośćmi, zwalił się z nóg, obaliwszy na siebie dwukółkę, a razem z nią i mnie. Wszystko to stało

się o kilka cali od przepaści, na szczęście nie zbyt głębokiej, do której zresztą nie runęłam. Skończyła się cała afera na nieprzyjemnem zdumieniu i podarciu ubrania.

Bardzo uprzejmie skoczył mi na pomoc jakiś Anglik, któremu wózek ugrzązł w czerwonej glinie; i gniew swój wywarł na woźnicy, do którego nie należała ani taratajka, ani zdechły na miejscu koń. Woźnica był krajowcem i zjednywać go sobie byłoby daremne. Trzeba było czekać na inną dwukółkę i dwie inne kobyły ze stacji. Lecz nie żałowałam straconego czasu. Zaznajomiwszy się z członkiem rady, w obliczu wspólnego zgnębienia nas przez agenta przewozowego, rozgadałam się i z drugim Anglikiem. Przez tę godzinę spędzoną w oczekiwaniu sukursu ze stacji, dowiedziałam się dużo nowych szczegółów o odkryciu Nilghiri, o ojcu Mr. Sullivana i o Toddach. Później widywałam się często w Utti z obu „dygnitarzami".

Po godzinie lunął deszcz, i moja dwukółka szybko zamieniła się w wannę z prysznicem. Na dobitkę, w miarę jak wznosiliśmy się, chłód zwiększał się dotkliwie. Po *przyjeździe* do Kochtaghiri, skąd mieliśmy jeszcze godzinę jazdy, drżałam z zimna pod szubą. Wjeżdżałam w Góry Błękitne podczas okresu deszczów. Gęsta, czerwona od rozmiękłej ziemi woda potokami lała się ku nam, i przepyszną panoramę z obydwóch stron drogi przesłoniła mgła. Lecz widok był czarujący nawet w tak fatalnych warunkach podróży, a powietrze, chłodne i wilgotne, po dusznej atmosferze Madrasu sprawiało prawdziwą rozkosz. Przesycał je zapach fijołków i drzew żywicznych. Las pokrywał wszystkie stoki gór szmaragdowym pokrowcem. Ta szybka zmiana klimatu, otoczenia i całej przyrody wydała mi się czarnoksięstwem. Zapomniałam o chłodzie, deszczu, o wstrętnym wózku z budą, pod którą siedziałam na swych zachlapanych błotem, roztrzęsionych walizkach — nabierałam w, płuca tego czystego, cudnego powietrza, którym nie oddychałam już wiele lat.,. Dopiero koło szóstej wieczorem podjechaliśmy do Utti.

Była niedziela, i niebawem zaczęliśmy spotykać tłumy, powracające z nieszporów. Byli to przeważnie eurazjaci, ci rozcieńczeni „czarną" krwią Europejczycy, chodzące paszporty ze „znakami szczególnemi", które noszą na sobie od urodzenia do grobu, w paznogciach, profilu, włosach i cerze. Nie znam nic śmieszniejszego i wstrętniejszego od eurazjaty w modnym żakieciku i w melonie na maleńkiem czole, prócz chyba eurazjatki w kapeluszu z piórami, w którym wygląda jak karawaniarski koń pod czarną kapą, w strusich piórach na łbie. Żaden Anglik nie odczuwa a zwłaszcza nie okazuje takiej pogardy dla Indusa, jak eurazjata. Ów nienawidzi krajowca nienawiścią proporcjonalną do ilości wziętej z autochtona krwi. Indusi płacą eurazjatom tą samą monetą, jeszcze z dodatkiem dużego procentu. „Łagodny" poganin przemienia się w okrutnego tygrysa na samo imię eurazjaty.

Lecz ja patrzyłam nie na niezdarnych mieszańców, grzęznących w butach po kolana w gestem uttakamandzkiem błocie, zalewającem krwawem morzem ulice miasteczka. Z chwilą zbliżenia się do Utti, wzrok mój zatrzymywał się na gładko wygolonych misjonarzach, prawiących kazanie pod parasolami i wymachujących patetycznie wolną ręką przed leją-cemi łzy drzewami. Nie, tych, których szukałam, nie było tutaj: Toddowie nie spacerują po ulicach i nie zbliżają się do miasta. Ciekawość moja, jak się niebawem dowiedziałam, była jałowa. Zaspokoiłam ją dopiero po kilkunastu dniach.

Poprzednią noc spędziłam w wagonie i dusiłam się od nieznośnego gorąca i braku powietrza. A teraz, nieprzyzwyczajona do chłodu, trzęsłam się pod pierzyną, i w moim pokoju paliło się na kominku do rana.

Prawie przez trzy miesiące, do końca października, pracowałam nad zdobyciem nowych wiadomości o Toddach i Kurumbach. Jeździłam na noclegi do pierwszych i poznałam prawie całą starszyznę tych dwóch niezwykłych szczepów. Pani Morgan i jej córki, które wszystkie urodziły się w tych górach i mówią językiem Baddagów, i po temilsku, bardzo mi w mych badaniach pomagały i starały się wzbogacać codziennie nasz zapas faktów. Wszystko, cze-gom się osobiście dowiedziała od nich i od innych osób, a także dane, zaczerpnięte z dostarczonych mi rękopisów, zebrałam tutaj. Oddaję te fakty czytelnikom do rozpatrzenia się w nich.

Można się założyć, iż nie spotka się na kuli ziemskiej plemienia podobnego do Toddów, Gdzie i kiedy, pytam, bywało plemię, o którem najbliżsi jego sąsiedzi, nawet współmieszkańcy

zakątka w górach, Baddagowie wiedzieliby równie mało, jak Dra-widzi z odległych brzegów oceanu Indyjskiego, którzy nigdy nawet nie słyszeli o istnieniu Toddów do czasu ich odkrycia przed sześćdziesięciu laty? Baddagowie nietylko nie mogą udzielić żadnych wskazówek co do przeszłości Toddów przed ich własnem przybyciem w te góry, lecz nie rozumieją nawet języka tych, których uważają za swych suwerenów, tytułując ich ze czcią „władcami gór". Część plemienia Baddagów, która przesiedliła się tutaj z nizin, zaczęła paść liczne stada toddyjskich bawołów, pracować na Toddów, służyć im dobrowolnie i bezinteresownie; od pierwszego dnia, jak sami twierdzą, jęli się modlić do tych władyków, patrząc na nich, jako na wyższe, boskie istoty. Na wszelkie pytania Anglików odpowiadają *r.* przekonaniem: „Toddowie to de-wy, posłani przez Brahnię na ziemię bogowie". I tego się trzymają. Odkrycie „wewnętrznej miejscowości" w górach nad Coimbatore bylo ongi dla Madrasn tem czem odkrycie Ameryki dla Starego Świata. Ani Europejczycy, ani tubylcy nie podejrzewali na początku XIX-go stulecia, że nad samemi, że tak się wyrażę, głowami ich rozpalonych miast i wsi znajduje się taka kraina; że zaledwie o parę tysięcy stóp nad ich piekłem jest prawdziwa Szwajcarja, z równym pogodnym klimatem, tem od niej różna, że posiada osobliwą w Indjach florę, faunę i plemię, niepodobne do żadnego innego. Wśród wielu przeczytanych przezemnie dzieł, traktujących o Nilghiri, nie znalazłam jeszcze ani jednego, któreby się nie kończyło zrozumiale intrygującem pytaniem: „Kim mogą być ci Toddowie?" Skąd się wzięli w istocie? Z jakiej krainy przybyli ci olbrzymi Gulliwerowscy? Z którego wyschłego 5 dawno obróconego w popioły odłamu ludzkości spadł w Góry Błękitne ten dziwny, nikomu nieznany owoc"? Przypuśćmy, że dla krajowców wogóle, a dla zabobonnych Malabarczyków z podgórza w szczególności Toddowie są potomkami w prostej linji dewów, bóstw tych uroczych gór, którym, podobnie jak starożytni Kreteńczycy swym „Ka-birom" oddają cześć boską, nie pytając o ich pochodzenie. Lecz dla mieszkających w Indjach Południowych Europejczyków stanowczo są niewyjaśnionem zjawiskiem, pytaniem, na które nie można otrzymać odpowiedzi. .Jak wyżej była mowa, na temat Toddów twrzono najniemożliwsze, dzikie hipotezy, które wreszcie porzucono, pozostawiając kwestje otwartą. A teraz, gdy Anglicy przeżyli pod ich bokiem zgó-rą lat czterdzieści, dowiedziawszy się o nich wszystkiego, co można było, t. j. bardzo niewiele, władze w Madrasie nieco się uspokoiły i zmieniły taktykę. „Żadnej tajemnicy w Toddach niema, a więc nikt nie mógł jej rozwiązać" — powiadają teraz. — „Niema, ani nie było w nich nic zagadkowego,,. Ludzie, jak ludzie. Nawet ich, na pierwszy rzut oka niepojęty wpływ na Baddagów i Kurumbów objaśnić można w bardzo prosty sposób: zabobonnym lękiem ciemnych tubylców i potwornych karłów przed urodą fizyczną, wspaniałym wzrostem i siłą moralnie innego szczepu. Wniosek: Toddowie to bardzo piękni, choć brudni, dzicy, bez religji i bez świadomej przeszłości. Poprostu niepomne pokrewieństwa plemię, pół-zwłerzęta, jak zresztą i wszyscy tubylcy Indji, ild. i t. d.

Zato wszyscy pracownicy administracji, właściciele ziemscy, plantatorzy, słowem cała napływowa ludność od lat zamieszkała w Utti, Kochtaghiri i innych miasteczkach i osadach na stokach Nilghiri, patrzy na tę sprawę nieco inaczej. Wiedzą oni niejedno,o czem się jeszcze nie śniło świeżo przybyłym angielskim „czynownikom", lecz roztropnie milczą. Co za przyjemność stać się pośmiewiskiem dla innych? Lecz są -i tacy, którzy nie boją się mówić otwarcie i głośno o tem, co wiadome jest jako prawda.

Do nich należy goszcząca mnie rodzina, która od przeszło czterdziestu lat nie opuszczała Utti. Ta rodzina, poczynając od zasłużonego generała Rho-desa E, Morgana i jego miłej i wykształconej żony, a kończąc na ośmiu zamężnych córkach i żonatych synach, ma swój własny, dawno ustalony pogląd na Toddów i na Kurumbów, szczególnie na ostatnich.— Żona i ja — mawiał nieraz szanowny generał angielski, zestarzeliśmy się na tych wzgórzach. My i nasze *dzieci* władamy językiem Baddagów i rozumiemy narzecza innych szczepów miejscowych. Baddagowie i Kurumbowie setkami pracują na naszych plantacjach. Przywykli do nas, lubią nas i uważają za swoich, za przyjaciół i obrońców. Czyli, jeśli kto zna ich życie domowe, obyczaje, obrzędy i wierzenia, to my właśnie: żona, ja i najstarszy syn, który, piastując tutaj urząd kolektora (starosty), wciąż ma z niemi do czynienia. Dlatego też, opierając się na niejednokrotnie

dowiedzionych w sądzie faktach, mówię wprost: Toddowie i Kurumbowie istotnie i bezspornie posiadają jakąś siłę, obdarzeni są mocą, o jakiej nasi mędrcy nie mają pojęcia. Gdybym był człowiekiem zabobonnym*), rozwiązałbym tę zagadkę w bardzo prosty sposób. Powiedziałbym, naprzykład, jak mówią nasi misjonarze: „Mułłu — Kurumbowie— pomiot piekieł i zrodził ich sam szatan, Toddowie zaś, choć poganie, stanowią ich odtrutkę: są oni naj-

*) Szanowny generał jest „wolnomyślicielem", wyznawcą t. zw. naukowego *agnoslycyimu* Herberta Spencera i podobnych mu filozofów.

widoczniej, narzędziem, posłanem przez Boga dla osłabienia władzy i sideł djabelskich Kurumbów", Lecz nie wierząc w djabła, oddawna doszedłem do innego rodzaju przeświadczenia: nie należy odrzucać w człowieku i w przyrodzie wszystkich tych sił, których nie pojmujemy. Następnie, jeśli nasza, dufna w siebie, nauka nierozumnie zaprzecza ich istnieniu, to tylko dlatego, że nie umie ich objaśnić i sklasyfikować, „Zbyt wiele zdarzyło mi się widzieć przykładów, wprost wskazujących na istnienie i obecność takiej, nieznanej nam siły, żebym mógł nie ganić sceptycyzmu w tym względzie nawet samej nauki" *).

To co widział i słyszał mój szanowny gospodarz i przyjaciel śród Toddów i Kurumbów, mogłoby zapełnić całe tomy. Zacytuję narazić jeden wypadek. Ręczą za jego prawdziwość zarówno generał, jak żona jego i cała rodzina. Opowieść ta dowodzi, jak głęboko wierzą ci wykształceni ludzie w czary i siłę nieczystą Mułłu — Kurumbów.

„Mieszkając długie lata na Nilghiri — pisze Mrs. Morgan (córka gen, gubernatora z Trawankoru, urodzona w Indjach) w swej książce „Witchcraft on the Nilghiris" (Czary na Nilghiri") — otoczona setkami różnoplemiennych tubylców, których najmowałam do robót na naszych plantacjach, i dobrze znając ich język, miałam sposobność obserwować latami ich życie

*) Ustęp z rękopisu gen. Morgana, złożonego Komitetowi „badania wierzeń, zabobonów, obrzędów i obyczajów drawi-dyjskich plemion górskich", powołanemu przez radę naczelną

i obyczaje. Wiem, że często uciekają się oni do demonologji i czarnoksięstwa między sobą, szczególniej Kurumbowie. Plemię to dzieli się na trzy odnogi. Pierwsza, poprostu Kurumbowie, osiadli mieszkańcy lasów, którzy często wynajmują się do robót; druga — Teny - Kurumbowie (od słowa tejn, miód), żywiący się miodem i korzonkami, i trzecia — Mułłu-Kurumbowie. Tych spotyka się częściej od Tenów w cywilizowanych miejscowościach gór, t. j. w osadach europejskich i jest ich bardzo dużo w lasach w dół Winjadu. Używają łuków i strzał ł lubią polować na tygrysy i słonie. Istnieje u ludu tutejszego przekonanie, nieraz poparte faktami, że Mułłu-Kurumbowie (jak i Toddowie) mają władzę nad wszy-stkiemi dzikiemi zwierzętami, szczególniej nad słoniami i tygrysami, i mogą nawet przyjmować na siebie obraz tych zwierząt w razie potrzeby. Zapomocą likantropji (wilkołactwa) popełniają bezkarnie wiele przestępstw. Są bardzo mściwi i źli. Inni Kurumbowie stale uciekają się do ich pomocy. Gdy tubylec chce zemścić się na wrogu, udaje się do Mułłu - Ku-rumba...

Kiedyś śród robotników na mej plantacji w Utta-kamandzie znajdowała się cała partja Baddagów, ludzi młodych, zdrowych, którzy co do jednego wyrośli w naszych posiadłościach, gdzie już pracowali ich ojcowie i matki. Nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, zaczęło ich ubywać. Prawie codziennie stwierdzałam brak to tego, to owego robotnika. Po zbadaniu rzeczy zawsze okazywało się, że nieobecny nagle zachorowywał i niebawem umierał.
W pewien dzień targowy spotkałam monegara (sołtysa) wsi, do której należała moja parlja robotników. Ujrzawszy mnie, zatrzymał się i podszedł w pokłonach.

— Matko — rzekł do mnie, — jestem strapiony i wpadłem w wielką niedolę! — i rozpłakał się.

— Cóż się stało? Mów-że prędzej...

— Wszyscy moi parobcy umierają jeden za drugim, a ja nie jestem w stanie ani pornódz im, ani powstrzymać klęski.„

Zabijają ich Kurumbowie!

Zrozumiałem i zapytałem o przyczynę takiego ich rozwścieczenia.

Domagają się pieniędzy bez końca... Oddajemy im prawie cały nasz zarobek. Lecz wciąż są niezadowoleni. Zeszłej zimy powiadani im, że nie mamy już pieniędzy, nie mogę dać więcej, a oni na to: „Dobrze,., jak wam się podoba, a my swoje otrzymamy!.,. Jeśli tak odpowiadają, to my zgóry wiemy, co to znaczy. Takie słowa pociągają za sobą niechybną śmierć kilkunastu ludzi z naszej parafji... Nocą, gdy wszystko dokoła nas we śnie pogrążone, wszyscy budzimy się raptem i widzimy, że między nami stoi Kurumb. Nasza partja śpi przecie społem, w dużej szopie.

— Dlaczegóż więc nie zawieracie na noc mocniej drzwi na zasuwy? — zapytałam sołtysa,

— Zawieramy; lecz na cóż się zdadzą zasuwy?

Żeby się nie wiem jak zamknąć, Kurumb dostanie się wszędzie, nawet *przez* mur... Patrzysz, obudziwszy się w strachu, a on już jest tutaj, śród naszych: stoi i przypatruje się każdemu. Podniesie tak palec i wskazuje nim to na tego, to na owego, na Madę, na Kurirę, na Dżogi (imiona trzech ostatnich ofiar...) sam nie otwiera gęby, milczy i tylko pokazuje — a potem raptem przepada z oczu. Ani śladu! Po kilku dniach ci, na których on pokazał palcem, zapadają na zdrowiu, dostają gorączki, brzuchy zaczynają im się wzdymać, jak góry, i trzeciego dnia albo też trzynastego, umierają. Tak pomarło mi, w ciągu kilku ostatnich miesięcy, osiemnastu chłopaków na trzydziestu... Ot, i zastała nas garść zaledwie!

I gorzko zapłakał.

— Dlaczegóż więc nie wniesienie skargi do rządu? — zapytałem,

— A czyż saaby uwierzą? Któż potrafi schwytać Mułłu - Kurumba?

— Więc dajcie tym okropnym karłom to, czego żądają, te dwieście rupji, i niech złożą obietnicę, że choć pozostałych zostawią w spokoju...

— Tak, trzeba będzie tak zrobić — powiedział z westchnieniem. I złożywszy pokłon, odszedł".

Ten przykład jest jednym z wielu, cytowanych *przez* panią Morgan, kobietę rozumną i poważną. Dowodzi on jasno, że wiarę w czary dzieli z „przesądnemi", krajowcami nawet wielu Anglików,

— Mieszkam śród tych plemion przeszło czterdzieści lat — nieraz mówiła mi generałowa. — Obserwowałam ich długo i starannie. Był czas, gdym i ja nie wierzyła w tę siłę, nazywając ją absurdem. Lecz, przekonawszy się o jej istnieniu, uwierzyłam, jak i wielu innych.

— Lecz, pani wiadomo, że tę waszą wiarę w czarnoksięstwo wyśmiewają? — zaznaczyłam mimochodem,

— Wiem i dawno się o tem przekonałam. Lecz opinja publiczna, sądząca powierzchownie, nie może zmienić mojej opinji, skoro jest ona oparta na faktach,

— Mr. Butten mówił mi wczoraj przy obiedzie, śmiejąc się, że dwa miesiące temu zetknął się z Ku-rumbami, lecz, że pomimo ich pogróżek, dotychczas żyje,

— Co mianowicie opowiedział pani? — spytała z ożywieniem, zdejmując okulary i odłożywszy robotę.

— Że na polowaniu zranił słonia, lecz ten uszedł w gąszcz. Zwierzę było wspaniałe i nie chciał go stracić. Miał ze sobą ośmiu bfirgerów-Baddagów i nakazał im towarzyszyć sobie w pogoni za rannym słoniem. Lecz zwierz zawiódł ich bardzo daleko'w puszczę, tak daleko, że gdyby nie byli ujrzeli wreszcie trupa jego, szikarowie (myśliwcy) nie poszliby dalej, pod pretekstem, że mogą natknąć się na Kurumbów, Ale to im nie pomogło, gdyż i tak spotkali się z niemi nos w nos, podszedłszy do słonia. Kurumbowie oświadczyli, że słoń jest ich i że dopiero co go zabili, pokazując na dowód z tuzin swych strzał w jego ciele. Lecz Butten odnalazł i ranę od swej kuli. Wyszło na to, że Kurumbowie nie zabili słonia, lecz jeno dobili ciężko ranione zwierzę. Karły jednak upierały się przy swem prawie do zdobyczy. Wówczas, według słów Buttena, nie bacząc na ich przekleństwa, rozpędził ich i, odciąwszy nogę i kły, powrócił do domu... „No i oto

do dziś dnia jestem zdrów i cały" — śmiał się — a urzędnicy — Indusi w moim departamencie już byli pogrzebali mnie, usłyszawszy o mem spotkaniu z Kurumbami!"

Pani Morgan wysłuchała cierpliwie mej relacji i zapytała tylko:

— Nic więcej pani nie mówił?

— Nie.

Obiad się kończył i zawiązała się ogólna rozmowa.

— A więc ja sama dopowiem pani, to, co on przepuścił; a potem przywołam świadka, jedynego prócz Buttena, który przeżył to nieprzyjemne spotkanie. A czy mówił pani, że przy pierwszej jego próbie zabrania kłów słonia Kurumbowie krzyknęli mu: „ten, kto tknie naszego słonia, ujrzy nas u siebie przed swoją śmiercią"?,.. To jest zwykła ich formuła przy grożeniu komuś śmiercią... Gdyby jego Baddagowie pochodzili z tych stron, to raczej daliby mu się ubić na miejscu, niż zlekceważyliby te pogróżki. Lecz on przywiózł ich ze sobą z Majsuru. Butten zabił słonia, lecz, jak sam się do tego przyznaje, brzydzi się krajaniem na sztuki martwego zwierza. To tylko półmyśliwy, londyński cockney (laluś) — dodała pogardliwie. — Odcięli nogę i wyrżnęli kły jego majsurscy szikarowie i oni też, uwiązawszy do żerdzi, zanieśli je do domu. Było ich ośmiu. A teraz chce pani wiedzieć, ilu ich zostało przy życiu?

Klasnęła w dłonie, przywołując służącego, któremu kazała natychmiast sprowadzić Purnę.

Zjawił się Purna, starzec-myśliwiec, w stanie wielkiego osłabienia. Jego malutkie czarne oczy z żółtemi białkami, jak per rozlaniu żółci, lękliwe biegały od jego pani do mnie. Najwidoczniej nie mógł zrozumieć po co go wezwano do salonu saabów.

— Powiedz mi, Purno — zaczęła stanowczym tonem generałowa, — ilu was, szikarów, chodziło dwa miesiące temu z Butten-saabem na słonia?

— Ośmiu, mam-saab, Dżotti chłopiec, dziewiąty — wychrypiał z trudem starzec, kaszląc.

— Ilu was teraz zostało?

— Ja sam tylko, mam-saab — westchnął szi-kari,

— Co? — zawołałam z nieudanem *przerażeniem* — czyż wszyscy inni, nawet chłopiec, pomarli?

— Murcze (pomarli), wszyscy pomarli! c— wy-jęczał stary myśliwiec.

— Opowiedz mam-saab, jak i z czego pomarli, — rozkazała generałowa,

— Mułłu-Kurumbowie ich zabili, brzuchy spuchły jednemu po drugim, i tak wszyscy poumierali, ostatni — pięć tygodni temu.

— No, a jakże ten ocalał? — zwróciłam się do „ pani domu.

— Posłałam go natychmiast do Toddów na wyleczenie — objaśniła pani Morgan, — Innych nie przyjęli.-., pijących oni nie podejmują się leczyć i zawsze odsyłają z powrotem: dlatego też i moi dobrzy robotnicy pomarli... — jeden za drugim, ze dwudziestu ludzi, — dodała z westchnieniem, w formie dygresji. — A ten starzec wyzdrowiał: przytem nie dotykał się słonia i niósł tylko strzelbę, jak powiada. Butten, jak słyszałam od niego samego i od innych, groził szikarom, że jeśli nie zaniosą trofeów słoniowych do domu, zmusi ich do zanocowania w puszczy z Kurumbami. Przerażeni taką perspektywą, czem prędzej odcięli nogę, wyrżnęli kły i zanieśli do domu.

Purna, który długo służył u mego syna w Majsurze, przybiegł do mnie i natychmiast odesłałam go razem z towarzyszami do Toddów. Lecz ci nie przyjęli nikogo, oprócz Purny, który nigdy nie pije. No, a inni zaczęli od tego dnia kwękać. Chodzili w naszych oczach, jak widma, zieleni, wychudli, z ogromnemi brzuchami i przed upływem miesiąca pomarli jeden po drugim, na febrę, wedle opinji lekarza wojskowego.

— Ale toć biedny chłopiec nie mógł być jeszcze pijakiem? — zapytałam, — Dlaczegóż choć jego nie ocalili wasi Toddowie?

— Tutaj teraz pięcioletnie dzieci a już piją — odparła z wyrazem wstrętu w rysach. — Przed na-szem przybyciem w te góry w Nilghiri nigdy nie pachniało spirytualjami. To jedno z dobrodziejstw wniesionej przez nas cywilizacji. Teraz....

— Cóż, teraz?

— Teraz wódka u nas gubi tyluż ludzi co i Kurumbowie. To ich najlepsza wspólniczka... W przeciwnym razie Kurumbowie w tak bliskiem sąsiedztwie z Toddami byliby nieszkodliwi.

Na tem się nasza rozmowa zakończyła. Generałowa kazała zaprządz dwa ogromne woły do karety i zaproponowała mi *przejażdżką z* nią do jej wioski, po zioła. Wyruszyłyśmy. ,

W drodze cały czas opowiadała mi o Toddach i Kurumbach. Pani Morgan to kobieta z zadziwiającym zmysłem spostrzegawczym i pamięcią, kobieta energiczna, nadzwyczaj czynna i odważna, A trzeba mieć duży zapas tych zalet by walczyć, w ciągu lat czterdziestu, jak to ona czyniła, z anglo-indyjskiemi pojęciami społeczno-towarzyskiemi i ustalonemi normami *życia..* Jeszcze wtedy, gdy była żoną biednego kapitana Wschodnio-Indyjskiej Kompanji, któremu, jak każdemu z urzędników, niewolno było prowadzić interesów prywatnych, postanowiła, widząc coroczne powiększanie się rodziny, zdobyć dla męża i dzieci majątek. Zakupiła obszary *ziemi i* lasów, sprzedawanych przed czterdziestu laty za *bezcen* na świeżo odkrytych górach i zaczęła gospodarować. Sprowadzała nasiona, obsiała pierwsza kilkaset dziesięcin pustkowia eukaliptusem, krzewami herbaty i kawy, zajęła się hodowlą bydła, i w ciągu wielu lat mleko, masło i ser od jej dwóchset wspaniałych krów zapełniały wszystkie targi Nilghiri. Prowadziła w dalszym ciągu to rozległe gospodarstwo, nie bacząc na wyrzekania dumnego anglo-indyjskiego towarzystwa, nawet, gdy jej mąż z kapitana został generałem. Na uwagę naczelnego dowódcy, odpowiedziała mu wprost, że ponieważ mąż jej nie jest złodziejem a własnego majątku nie posiada, rząd nie ma prawa puścić jej ośmioro dzieci na żebry, zabraniając jej, osobie prywatnej, troszczyć się o ich byt. Widziała owoce swej pracy. Charując dzień i, noc, lubiona przez krajowców, a przez to mając dobrą pomoc w robotnikach, w dwanaście lat, jak powiada, zarobiła swą pracą pięć leków (lek—100000 rupji czyli 250000 franków). Sprzedawała, kupowała i zebrała ogromne pieniądze. Dom jej, przez nią samą wystawiony, jest największy i najokazalszy w Utti,

Dobra Mrs. Morgan bardzo lubi swe góry i dumna jest z nich. Zżyła się z niemi i uważa wszystkich Toddów, a nawet najemników—Baddagów jakby za część swej rodziny. Nie może darować rządowi nieuznawania „czarów" i ich okropnych skutków.

— Rząd nasz jest po prostu głupi — mówiła w podnieceniu. — Odmawia powołania komisji do przeprowadzenia śledztwa i nie chce wierzyć w to, w co wierzą wszyscy krajowcy, bez różnicy kast, używając tych okropnych środków do popełnienia bezkarnych zbrodni daleko częściej, niż mogłoby to komu przyjść do głowy! Lęk przed czarami jest tak wielki w naszych stronach, że nieraz ludzie gotowi są zabić cały tuzin niewinnych osób czarnoksięstwem innego rodzaju, byleby wyleczyć jednego chorego człowieka, podejrzanego o niemoc od złego oka Kurum-ba... Pewnego razu jechałam konno; nagle mój wierzchowiec, chrapiąc i parskając, niespodziewanie rzucił się w bok i o mało nie wysadził mnie z siodła. Przyjrzawszy się, zobaczyłam pośrodku drogi bardzo dziwną rzecz. Był to duży, płaski koszyk, w którym leżała, wytrzeszczając na przechodniów martwe oczy, oderżnięta głowa barania, oraz orzech kokosowy, dziesięć rupji srebrem, ryż i kwiaty. Koszyk ten był postawiony w górnym kącie trójkątu, złożonego z trzech cienkich nitek, przywiązanych do trzech kołków. Wszystko to było urządzone tak, że każdy, przechodzący po tej lub tamtej stronie drogi, musiał koniecznie natknąć się na te nitki, porwać je i w ten sposób otrzymać cios w całej jego mocy od zabójczego sunniumu, jak ten rodzaj czarów nazywa się u nich. Ten środek jest powszechnie używany przez tubylców. Uciekają się doń bardzo często w wypadkach chorób, grożących śmiercią. Wtedy przygotowują sun-nium. Kto dotknie się do niego, choćby do jednej nitki, przejmie w sobie chorobę, a chory wyzdrowieje. Sunnium, na który o mało co się nie natknęłam, ustawiono pod wieczór na drodze do klubu, którędy najwięcej chodzą po ciemku. Ocalił mnie koń, lecz utraciłam go: na trzeci dzień zdechł. Proszę po tem nie wierzyć w sunniumy i czary. A co mnie najbardziej irytuje, — ciągnęła — to to, że śmierć wskutek czarnoksięstwa lekarze nasi zawsze przypisują jakiejś, o niewiadomych własnościach febrze. Osobliwa musi to być febra, która tak mądrze i bez omyłki umie wybierać swe ofiary. Nigdy nie atakuje tych,v którzy nie mają nic wspólnego z Kurumbami. Pojawia się tylko wskutek nieprzyjemnego spotkania z niemi,kłótni lub ich złości na ofiarę. A przedewszystkiem w Nilghiri niema i nigdy nie było żadnej febry. To jest najzdrowsza na kuli ziemskiej miejscowość. Dzieci moje nie chorowały od urodzenia ani przez jeden *dzień.* Niech pani popatrzy na Edytę i Klarę, na siłę i cerę tych dziewcząt — powiedziała, wskazując na córki,

Istotnie, każda matka mogłaby być dumna z takiego kwitnącego zdrowia swych dzieci. Nie znalazłszy miejsca w karecie, obie panny, biegnące przeszło cztery mile bez odpoczynku obok jej drzwiczek, brały udział w naszej rozmowie z takim spokojem, jak-gdyby siedziały na miejscu. Ich ogromne, chłopczyń-skie skoki *przez* rowy i kanały, w ciągu godziny, tylko zarumieniły silniej i bez tego różowe policzki. Lecz pani Morgan nie słuchała moich szczerych komplimentów pod adresem córek, W dalszym ciągu urągała lekarzom. Wreszcie przerwała swe wyrzekania okrzykiem:

— Niech pani popatrzy! Oto jedno z najładniejszych murrti, osiedli Toddów. Tu mieszka ich najstarszy i święty kapłan, Toddowie, jak było już powiedziane, są plemieniem nawpół koczowniczem. Od Rangasuarni do Toddabetti cala powierzchnia łańcucha górskiego usiana jest ich murrtami, osiedlami lub wioskami, jeśli grupa trzech, czterech piramidalnych domostw może być uważana za wioskę.

Takie domostwa stoją niedaleko jedno od drugiego, a między niemi, wyróżniając się wielkością i staranniejszą pobudową, zawsze wynosi się tiriri
„poświętna bawołownia"). W nim za pierwszą „izbą", nocnem schroniskiem dla bawołów i oddzielnie dla bawolic, oborą ogromnych rozmiarów, wybudowana jest zawsze druga izba. Ta izba, w której panują ciemności, ponieważ niema ona ani okien, ani drzwi, a jedyne wejście to poprostu dziura na metr kwadratowy, nie więcej—to właśnie jest, jak się zdaje, świątynia Toddów, ich Sancta Sanctorum, gdzie odprawiane są nieznane nikomu, tajemnicze obrzędy. Na-wet powyższa dziura znajduje się w najciemniejszym kącie i bez tego ciemnej obory, tam, gdzie pragnącym dostać się do chramu przyszłoby długo szukać tego wejścia. Tam nie może postać noga kobiety ani żonatego Todda, t. j. nikogo z kasty ludzi świeckich czyli kutów. Tylko teralli (kapłani) mają wolny wstęp do wewnętrznego tiriri.

Sam budynek zawsze jest otoczony w pewnej odległości dość wysokim murem z kamienia; podwórze wewnątrz tego ogrodzenia też uważane jest za poświętne. Domki, zgrupowane dokoła tiriri, z oddali przypominają swym kształtem jurty Kirgizów. Lecz wszystkie są z kamienia, na mocnym cemencie. Budowle te mają zazwyczaj od 12 do 15 stóp długości i od 8 do 10 szerokości; wysokość ich od ziemi do brzegu piramidalnego dachu wynosi nie więcej niż 10 stóp.

Toddowie nie przebywają w tych budynkach we dnie: nocują w nich tylko. Bez względu na pogodę,., podczas wichury w okresie mussonów i ulewy, można ich widzieć, jak siedzą grupami lub przechadzają się po dwóch. Zaraz po zachodzie słońca włażą w malutkie otwory swych miniaturowych piramid. Jedna wielka figura za drugą zaczyna znikać w nich; po-czem, zawarłszy wejście od wewnątrz potężnej grubości okiennicą, bardzo pomysłowo obracającą się na zawiasie, a zamykającą się za pomocą mocnej zasuwy i dwóch wyżłobień w ścianie, Todd już nie pokazuje się aż do rana. Niemożna go ani widzieć, ani wywabić z mieszkania po zachodzie słońca.

Toddowie dzielą się na siedem klanów lub rodów; każdy klan liczy po setce mężczyzn i ze dwa tuziny kobiet. Według ich własnego zapewnienia, liczebność ta się nie zmienia i nie może się zmieniać, istniejąc już od pierwszej epoki ich osiedlenia się w górach. Statystyka potwierdza to w okresie pięćdziesięciu ostatnich lat. Według opinji Anglików, ten dziwny fakt niezmienności stosunku ich urodzin do śmiertelności, który jakgdyby zamknął liczbę Toddów w siedem setek na wiele wieków, należy przypisać poliandrji: Toddowie mają jedną żonę na wszystkich braci jednej rodziny, choćby ich było dwunastu.

Znaczną mniejszość płci żeńskiej w corocznej ilości narodzin przypisywano z początku bardzo rozpowszechnionemu wśród plemion Indji dzieciobójstwu. Lecz tego nigdy nie dowiedziono. Pomimo wszelkich *zarządzeń* i niezmordowanego szpiegostwa, mimo nawet nagrody za denuncjację, obiecanej przez Anglików, pałających w jakimś celu żądzą schwytania Toddów na przestępstwie i udowodnienia im takiego czynu, dotychczas nie było można wyśledzić ani jednego takiego wypadku. Toddowie jeno uśmiechają się pogardliwie na wszystkie podejrzenia.

— Poco mielibyśmy zabijać maleńkie matki? — powiadają. — Gdyby nam nie były potrzebne, nie mielibyśmy ich. My wiemy, ilu mężczyzn nam jest niezbędnych a ile matek, i zbytecznych nie będziemy mieli.

Ten dziwny argument każe statystykowi i geografowi, Tomowi, pisać w swojej książce o Nilghiri z jakąś wściekłością: „Te dzikusy to idjoci... kpią sobie z nas"—oświadcza sam nie widząc, że przypisuje idjotom zdolność tak zręcznego mistyfikowania wyższej, intelektualnej rasy.

Lecz ludzie, którzy dawno znają Toddów i badali ich byt latami, sądzą, że Toddowie składają swe zeznania całkiem serjo i że wierzą głęboko w podany fakt. Idą oni jeszcze dalej i otwarcie czynią przypuszczenia, że Toddowie, jak i wiele innych plemion, żyjących, że tak powiem, wprost na łonie przyrody, znają daleko więcej jej tajemnic a *przez* to obznajmieni są i z fizjologją praktyczną lepiej niż nasi *lekarze.* Ludzie ci są najgłębiej przekonani, że powołując się na bezcelowość uciekania się do dzieciobójstwa, skoro liczba „matek" ich plemienia jest do ich dyspozycji, Toddowie mówią szczerą prawdę, chociaż ich modus operandi w tej ciemnej kwestji fizjologicznej stanowi dla wszystkich niewyjaśnioną tajemnicę.

W języku Toddów słowa: „kobieta", „dziewczynka" lub „dziewczyna" nie istnieją. Pojęcie płci żeńskiej związane jest u nich nierozerwalnie z pojęciem macierzyństwa; dlatego też nie mają dla wyrażenia jej innej nazwy. Czy mówią *o* starej kobiecie, czy o rocznej dziewczynce, Toddowie zawsze ją nazywają „matką", używając tylko dla jasności określenia takich przymiotników, jak „stara", „młoda" lub „maleńka".

— Nasze bawoły — powiadają — oznaczyły raz na zawsze liczbę naszych ludzi; od nich też zależy liczba matek.

Toddowie nigdy długo nie siedzą na jednym murrcie, lecz przenoszą się z jednego na drugrj w miarę zużycia pastwisk przez bawoły. Dzięki własnościom gleby i obfitości roślin w tych górach pasza ta nie ma sobie równej w ludjach. Dlatego, zapewne, ich bawoły przewyższają też wielkością i siłą wszystkie, spotykane nietylko w innych częściach kraju, lecz i świata, rasy. I Baddagowie, i plantatorzy mają bawoły, karmione również doskonałą paszą: dlaczegóż więc, nasuwa się pytanie, te bawoły są daleko mniejszego wzrostu i słabsze od tego samego bydła w „poświętnych" stadach Toddów? Ich zwierzęta są literalnie gigantycznej wielkości, rzekłbyś, są to ostatnie okazy ich przedpotopowych prarodziców. Wszystkim wiadomo, że pomimo wszelkich ulepszeń rasy, zabiegi hodowców-plantatorów nie zostały uwieńczone powodzeniem: ich bawoły nigdy nie mogą dorównać bawołom Toddów, którzy przytem z uporem odmawiają wypożyczania swego bydła dla skrzyżowania ras. Zresztą, dzięki warunkom klimatu, brakowi much i bąków, wszystkie rasy bawołów i byków, jak również baranów, w tych górach są wspaniałe i stanowią wyjątek w Indiach.

Każdy klan, których, jak powiedziano, jest siedem, dzieli się na kilka dużych rodzin: każda rodzina, zależnie od liczby osób, posiada swój osobny domek, nawet dwa lub trzy domki w murrcie, na każdem pastwisku, W ten sposób każda rodzina ma gotowe domostwo, na którekolwiek pastwisko by się przeniosła, a czasem i kilka takich do niej jednej należących osad, z nieuniknionym tiriri, chramem-bawołownią. *Przed* przyjściem Anglików, zanim, jak pasorzyty, rozplenili się po całej powierzchni Nilghiri, Toddowie, uchodząc z jednego murrta na drugi, zostawiali tiriri puste, jak i inne budynki. Lecz, zauważywszy nieprzyzwoite wścibstwo nowych przybyszów, którzy od pierwszego dnia swego wtargnięcia tutaj starali się dostać do ich poświętnych budowli, Toddowie stali się ostrożniejsi. Już nie dowierzają, jak dowierzali przedtem, i wynosząc się, zostawiają przy tiriri kapłana—teralli"), który obecnie znany jest pod nazwą pollola **), z jego asystentem — kapillolem i dwiema bawolicami.

„Całe sto dziewięćdziesiąt siedem pokoleń żyliśmy w spokoju na naszych górach"— skarżyli się Toddowie władzom — „i nikt, prócz naszych teralli, nie ważył się przestąpić potrzykroć świętego progu tiriri. Bawoły gniewają się... zabrońcie białym braciom

* Bezcenny asceta, pustelnik,

** Pollol — strażnik, a kapillol — dosłownie„mniejszy strażnik".

podchodzić do tuaelu (poświętnej zagrody); inaczej będzie źle, bardzo źle !"

I władze roztropnie zabroniły osadnikom z dolin, w szczególności ciekawym i jeszcze częściej bezczelnym Anglikom i ich misjonarzom wdzierać się do tuaelów i nawet podchodzić do nich. Lecz uspokoili się oni dopiero wtedy, gdy dwóch z nich w różnych czasach zostało zabitych *przez* bawoły: wzięły ich na ostre ogromne rogi i *zmiażdżyły* ciężkiemi racicami na śmierć. To zwierzę lekceważy nawet tygrysa, którzy rzadko ośmiela się *zmierzyć* z niem.

Tak oto, dotychczas nikt się nie dowiedział, jaka tajemnica kryje się w izbie za bawołownią. Nawet misjonarz Metz nie zdołał rozwiązać zagadki przez trzydzieści lat współżycia z Toddami. Opisy i wiadomości w tym zakresie majora Tresera *) i innych etnologów i pisarzy okazało się, są całkiem fantastyczne. Major „wlazł do izby za bawołownią i znalazł w tym, tak interesującym wszystkich chramie, brudną i zupełnie pustą izbę", poprostu dlatego, że parcelę razem z budynkami na niej, Toddowie odstąpili miastu, wza-mian za inne pastwisko, odleglejsze, lecz daleko większe. Wszystko, co było w domkach i w świątyni, zostało wyniesione i budynki pozostawione do rozbiórki.

Poza swemi bawołami Toddowie nie zajmują się żadną inną hodowlą bydła lub gospodarstwem. Nie trzymają ani krów, ani baranów, ani kóz, nawet ża-

*) *The Toddas what si known of them.* („Toddowie — co o nich wiadomo").

dnego ptactwa. Nie znoszą kur, ponieważ „koguty zachowują się niespokojnie w nocy i budzą swem pianiem zmęczone bawoły" — objaśnił mnie pewien starzec. Toddowie, jak było już powiedziane, nie trzymają nawet psów, choć w domu każdego Baddaga można *znaleźć* to pożyteczne i nawet niezbędne w takich lesistych wertepach zwierzę, Toddowie i teraz, jak przed przybyciem Anglików nie zajmują się żadną pracą: nie sieją i nie zbierają zboża, a jednak, zda się, mają wszystkiego w bród, choć nie parają się sprawami pieniężnemi i na pieniądzach wogóle się nie znają, z wyjątkiem niewielu starców. Kobiety ich, bardzo ładnie i oryginalnie wyszywają brzegi swych białych, obszernych chust, jedynego okrycia ciała; lecz mężczyźni otwarcie pogardzają wszelką ręczną i wogóle fizyczną pracą. Wszystka ich miłość, wszystkie myśli i uczucia religijne skupiają się na wspaniałych bawołach. Lecz kobiet nie dopuszczają do nich; dojenie i obrządek przy bawolicach należy wyłącznie do mężczyzn.

W kilkanaście dni po mym przyjeździe, 'w towarzystwie tylko pań ł dzieci, udaliśmy się na zwiedzenie murrti, leżącego o pięć mil od miasta, W tem siole mieszkało teraz kilka rodzin Toddów i starzec teralli z całą świtą „adeptów świątynnych", jak mi mówiono. Miałam już sposobność widzieć kilku Toddów, lecz nie widziałam jeszcze ani ich kobiet, ani obrzędów^ z bawołami. Jechaliśmy z zamiarem przyjrzenia się, jeśli nam pozwolą, ceremonji zapędzania bawołów do obory, o czem mi tak dużo opowiadano i którą miałam wielką ochotę zobaczyć.

Było już około piątej po południu, i słońce miało się ku zachodowi, gdy zatrzymaliśmy się na skraju lasu i wysiadłszy z karet, poszliśmy pieszo ku wielkiej polanie. Toddowie byli *zajad* spędzaniem bawołów i nie zwrócili na nas uwagi, nawet kiedy podeszliśmy do nich dość blisko. Lecz bawoły zaryczały. Jeden z nich, widocznie główny, ze srebrnemi dzwoneczkami na ogromnych, zakręconych rogach, odłączył się od stada i podszedł do samego brzegu drogi. Zwróciwszy ku nam wysoko wzniesiony łeb, wlepił w nas swe błyszczące, ogniste oczy i donośnie zaryczał, jak-gdyby się pytał: Coście za jedni?...

Powiadają, że bawoły są głupie i leniwe, i że oczy ich nic nie wyrażają. W zupełności podzielałam ten sąd, pókim się nie zapoznała z bawołami Toddów, a zwłaszcza z tem, jakby odzywającem się do nas w swym języku, zwierzęciem. Ślepia mu płonęły jak dwa węgle i z jego kosego, niespokojnego wejrzenia wyraźnie przeświecało uczucie jakby zdumienia i wraz niedowierzania...

— Proszę nie podchodzić doń! — zawołali na mnie towarzysze. — To ich prowodyr, najbardziej czczony z całego stada... Jest bardzo niebezpieczny!
Lecz mnie ani się śniło podchodzić; przeciwnie, zaczęłam rejterować, gdy młodzieniec wysoki i zgrabny, niby Hermes śród byków Jupitera, znalazł się jednym skokiem pomiędzy bawołem a nami. Złożywszy ręce, zgięty przed „poświętnym" pyskiem, szybko na chylił się do ucha zwierzęcia i jął szeptać półgłosem dla nikogo nie zrozumiałe słowa. Wówczas stało się coś bardzo dziwnego, tak dziwnego, że, gdyby tego faktu nie potwierdzili mi inni, uznałabym go za halucynację, wskutek mnóstwa słyszanych przeze mnie w owe dni historji i anegdot o tych poświętnych zwierzętach.

Bawół na pierwsze słowa młodego teralli, obrócił ku niemu głowę i jakby słuchał i rozumiał. Spojrzawszy w naszą stronę, jakby chcąc nas obejrzeć jeszcze uważniej, zaczął kiwać głową, wypuszczając krótkie, urywane, możnaby rzec, mające swój sens, poryki, niby odpowiadając na pełne uszanowania uwagi teralli. Poczem, obrzuciwszy nasze towarzystwo już obojętnym wzrokiem, bawół odwrócił się do drogi tyłem i powoli odszedł z powrotem do swego stada.

Cała ta scena była do tego stopnia komiczna i tak żywo przypominała rozmowę rosyjskiego chłopa z niedźwiedziem na łańcuchu, ze znanej bajki, że o mało nie wybuchnęłam śmiechem.

Spojrzawszy na poważne i nieco zmieszane twarze mych towarzyszek, powstrzymałam się.

— Widzi pani, że mówię prawdę!,.. — pół tryumfująco, pół bojaźliwie szepnęła mi do ucha piętnastoletnia panienka. — Bawoły i teralli rozumieją jeden drugiego, oni rozmawiają ze sobą, jak ludzie.

Ku memu zdumieniu, matka nie powstrzymała panienki, nie zrobiła jej żadnej uwagi. Na me pytające, zdziwione spojrzenie odpowiedziała tylko, jakby
również nieco zmieszana: Toddowie są pod każdym względem dziwnem plemieniem,.. Rodzą się i żyją między bawołami. Tresują je latami, i rzeczywiście możnaby pomyśleć, że nawet prowadzą ze sobą rozmowy..,

Poznawszy Mrs. T. i jej rodzinę, kobiety Toddów wyszły na drogę i otoczyły nas. Było ich pięć: jedna z dzieckiem, zupełnie nagiem, pomimo chłodnego, zwiastującego deszcz wiatru, trzy młode i bardzo urodziwe i jedna stara baba, wcale jeszcze przystojna, lecz zato bardzo już brudna. Ta podeszła wprost do mnie i zapytała, zapewne po kanarezyjsku, com za jedna. Pytania, oczywiście, nie zrozumiałam, więc odpowiedziała za mnie jedna z panienek. Lecz, gdy przetłomaczono mi i pytanie i odpowiedź, la wydała mi się nader oryginalną, choć i niebardzo prawdopodobną. W odpowiedzi tej zostałam przedstawiona publiczności, jako „cudzoziemska matka i kochająca córka bawołów", wedle zapewnienia tłomaczki. Widocznie ten opis uspokoił i nawet ucieszył brudną babę, gdyż bez takiej rekomendacji, jak się dowiedziałam później, nie byłabym wogóle dopuszczona do asystowania przy wieczornych obrzędach z bawołami. Starsza zaraz pobiegła i zapewne powtórzyła wiadomość drugiemu, starszemu teralli, który, otoczony gromadką młodych adeptów kapłańskich, stał w oddali, w malowniczej pozie, oparłszy się łokciem o czarny lśniący grzbiet już nam znanego bawoła-prowodyra. Natychmiast przyszedł do nas i zaczął rozmawiać z mrs. S., znającą ich język nie gorzej od tubylca. Co za wspaniały starzec, jaka prezencja! Mi-mowoli porównywałam tego ascetę-górala z lakiemiż ascetami Indusami i muzułmanami. O ile ci wydają się osłabionemi, zmumifikowanemi, o tyle teralli-Todd uderzał nas zdrowiem i siłą swego potężnego, wysokiego i krzepkiego, jak stuletni dąb, ciała. Siwizna ledwie srebrzyła jego brodę i gęste, spadające ciężkie-mi puklami na kark, włosy. Prosty jak strzała, podchodził do nas, nie spiesząc się i zdało mi się, że zbliża się ku nam postać Belizarjusza, który ożył i wyszedł ze swej ramy. Na widok tego, cudnie malowniczego, dumnego starca, wyglądającego jak król, przebrany w siermięgę, i jego sześciu, olśniewająco rosłych i pięknych kapillolów, zbudziło się we mnie z nową siłą uczucie palącej ciekawości, nienasycone pragnienie

dowiedzenia się wszystkiego, co tyko było można, o jego plemieniu, a w szczególności o jego tajemnicach.

Lecz było to daremne i, w owej chwili zgoła nie dające się zaspokoić pragnienie. Nie mówiłam nawet, jak wielu z mych europejskich znajomych, ich językiem. Nie pozostało mi nic innego, jak czekać-cierpliwie i bez szemrania, obserwować i przyjmować do wiadomości wszystko, co mi będzie dane zobaczyć. Tego wieczora zobaczyłam tylko następującą cere-monję, którą Toddowie powtarzają codziennie.

IV

Zmuszona w tem opowiadaniu opierać się w stosunku do fenomenalnych cech Toddów i Kurumbów na świadectwie pani Morgan i jej rodziny, czuję, że w oczach niewierzącej publiczności jest to oparcie bardzo niepewne. Powiedzą nam prawdopodobnie: „Teozofowie, psychiści, spirytyści — to jedno licho, wy wszyscy wierzycie w to, w co nauka nietylko nie wierzy, lecz co zawsze odrzucała z należytą pogardą.,. Wasze fakty to halucynacja, którą podzielacie wzajem, lecz w którą nie uwierzy żaden rozsądny człowiek".

Na to jesteśmy oddawna przygotowani. *Jeżeli* świat naukowy, a za nim i tłum, pragnący popisać się w jej świetle, bezceremonjalnie odrzucili wyniki badań w tej materji niektórych swycli wielkich uczonych, to nie my możemy mieć nadzieję przekonania publiczności; jeśli świadectwo profesorów Hare'a, Wallace'a, Zollnera, Crookesa i tylu innych luminarzów nauki poszło na marnej skoro wiemy, jak te same tłumy, które jeszcze wczoraj wymawiały uniżenie imiona swych wielkich uczonych, twórców ważnych odkryć w nauce, mówią o nich teraz nieomal z uśmiechem pogardliwego współczucia, jako o ludziach niespełna rozumu — to naszą sprawę uważać musimy za zgóry przegraną. Śmieszne jest spodziewać się, że zainteresujemy sceptyków, że zmusimy ich popatrzeć poważnie na „czary" dwóch półdzikich plemion, skoro świadectwo i doświadczenia naukowe w *dziedzinie* zjawisk spirytystycznych wyżej wymienionych uczonych były wyśmiane. Kto z interesujących się zagadnieniami psychologicznemi nie pamięta, jak poważnie i sumiennie badał te wszystkie zagadnienia przez szereg lat chemik Crookes? Dowiódłszy niedającemi się obalić doświadczeniami zapomocą aparatów naukowych, że fenomeny niepojętego charakteru dzieją się niekiedy w obecności tak zwanych medjów, dowiódł tem samem i istnienia takich niezbadanych sił i zdolności w człowieku, o czem się jeszcze nie śniło królewskiemu towarzystwu *), Za to odkrycie, które w swoim czasie wywołało wielkie wrażenie w całej wierzącej a zwłaszcza niewierzącej Europie i Ameryce, wspomniane towarzystwo, jak Akademja Francuska w stosunku do Charcota'a, **) omal nie wygnała prof. Crokes'a ze swego środowiska, głuchego i ślepego na wszelkie przejawy świata duchowego i psy-chicznego. Nie pomogły ani jego słynny wynalazek radiometru, ani odkrycie materji promienistej.

*) Badań Psychicznych w Londynie. Przyp. tłum,

*) Dr. Charcot, znakomity neuropatolog paryski, europejskiej sławy badacz chorób nerwowych (1825—1893). Przyp. tłum.

Doszedłszy do tego punktu, będziemy jednak musieli uczynić pewne *zastrzeżenie.* Zechce czytelnik pamiętać, że to opowiadanie nie jest bynajmniej propagandą spirytyzmu. Popro-stu podajemy do wiadomości fakty i próbujemy otworzyć oczy publiczności na realność wielu nienormalnych, dziwnych, jeszcze nie wyjaśnionych, lecz wcale nie nadprzyrodzonych zjawisk. Wierząc w fenomeny medjów, t. j. w ich istotne, nie sfałszowane właściwości, które, niestety, stanowią przeszło 70 proc, przejawów medjumicznych, większość teozofów odrzuca teorję „duchów". Osobiście, pisząca te słowa nie wierzy ani w materjalizację dusz zmarłych, ani w objaśnienia spirytystów; a najmniej w ich tak zwaną filozofję. Prawie wszystkie fenomeny, o

których tyle się mówiło w ostatniem ćwierćwieczu, są równie niewątpliwe, jak istnienie samych medjów. Lecz charakter tych zjawisk tyleż ma w sobie tego, co się nazywa „spirytualite", co owi poczciwi kowale i cieśle, przedstawiający w widowiskach pasyjnych w południowych Niemczech i Francji apostołów, a którzy wybór swój nrzez sołtysów zawdzięczają żylastym rękom i wysokiemu wzrostowi.

Taką wiarę w jedno i niewiarę w drugie podziela ze mną, jak powiedziano, większość współczesnych tak zwanych spirytualistów i członków towarzystwa teozoficznego: z jednej strony — indyjscy bramini, z drugiej — kilkaset bardzo doświadczonych w sprawach spirytyzmu i uczonych osób w Europie; do tych uczonych należy i wielki chemik, Crookes — n'en de-plaise aux spirites, którzy mówią zupełnie co innego, wskazując nań we wszystkich swych publikacjach, jako na zdecydowanego spirytystę. Spirytyści grubo się mylą. *Przez* pewien czas, póki nie znałem osobiście Mr. Crookes'a, te legendy wywoływały we mnie wątpliwości. Lecz w kwietniu 1884 roku, w jego domu, w Londynie, postawiłem mu przy wielu świadkach a potem i bez świadków, to proste pytanie. Crookes odparł bez wahania, że w opisane przezeń zjawiska z medjami wierzy równie silnie, jak w swoją „materję promienistą", którą nam wtedy pokazywał i objaśniał; lecz że w pośrednictwo duchów nie wierzy oddawna, choć przez pewien czas skłaniał się ku temu.

— Więc któż to był „Katie King"? — zapytaliśmy,

— Nie wiem; najpewniej sobowtór miss. F. Cook (medjum)—odparł, dodając, że jest poważna nadzieja, iż fizjologja i biologja w krótkim czasie przekonają się o istnieniu takiego nawpółmaterjalnego sobowtóra w człowieku. .

Na to nam znowu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, rzekną, że istnienie takich uczonych, którzy wierzą w sobowtóry i nawet w spirytyzm, nie dowodzi *jeszcze* realności ani sobowtórów, ani fenomenów medjów. Powiedzą nam, że w każdej rodzinie znajdzie się wyrodek, że tacy uczeni stanowią wreszcie mniejszość, a tacy, co odrzucają w rumel wszystko niedowiedzione jeszcze przez współczesną naukę, są w ogromnej większości. Nie będziemy się sprzeczali. Zauważymy tylko, że argument mniejszości niczego nie dowodzi. Większość ma jedną jedyną widoczną przewagę nad mniejszością: przewagę brutalnej zwierzęcej siły. Siada ona na mniejszość i stara się ją *zmiażdżyć* lub przynajmniej zagłuszyć jej głos. Widzimy to wszędzie. Królewskie towarzystwa i akademje szykanują uczonych, ośmielających się przekraczać — w imię sponiewieranej prawdy '-— wyraźnie zakreślone przez nie rubieże dokoła ich ciasnego materjalistycznego programu.

Przekonawszy się ostatecznie, że tak poważne instytucje jak Królewskie Tow. Psychiczne i europejskie akademje nauk nigdy (przynajmniej nieprędko jeszcze, nie za naszego życia) nie przyjdą nam z pomocą; że większość uczonych postanowiła, zdaje się, wygnać na zawsze ze sfery swych badań wszelkie tego rodzaju zjawiska psychologiczne; że o wszyst-kiem powierzchownie sądząca publiczność piętnuje stemplem grubego zabobonu wszystko to, czego nie rozumie (wielu zapewnię, bojąc się zrozumieć); że wreszcie wszyscy oni zgodzą się,, nazywać prawdą i faktem wyłącznie własne, dla jakichś przyczyn *przez* nich przyjęte wnioski—chociaż większość teo-rji naukowych, przy każdym kroku naprzód wiedzy od wieków pękała kolejno: widząc to wszystko i przekonawszy się, jak próżne są nasze wysiłki, by zmienić ducha czasów, postanowiliśmy działać i szukać wyjaśnień sami.

Dwa lata zbieraliśmy wiadomości i studjowaliśmy „czarnoksięstwo" Kurumbów i przeszło pięć lat podobne przejawy tej samej siły u różnych plemion Indji, Rada naczelna Towarzystwa*) powołała w tym celu komitet i przedsięwzięła wszelkie środki przeciw możliwym oszustwom. Nasi członkowie, wybrani z pośród najzawziętszych sceptyków, jednogłośnie doszli do takiego wniosku: „Wszystko, co opowiadają o tych plemionach, oparte jest na prawdziwych faktach. Odrzuciwszy oczywiście, przesadę zabobonną masy ludowej — fakty te niejednokrotnie były dowiedzione. Czem się to dzieje, na zasadzie jakich właściwości, Toddowie, Kurum-bowie, Jannadowie i inne plemiona oddziaływują w pewien sposób na ludzi — nie wiemy i nie podejmujemy się tego objaśnić. Zeznajemy tylko to, cośmy sami widzieli". Tak mówili nasi członkowie — Indusi, wychowani we współczesnym duchu cywilizacji angielskiej, tj. materjaliści

w całem znaczeniu tego słowa, nie wierzący ani we własnych bogów, ani w duchy spirytystów. Tak mówię i ja, choć mam silne podejrzenie, równające się przekonaniu, że ta silą w nilghirskich czarownikach jest to nasza stara znajoma: „siła psychiczna" d-rów Carpentera i Crookesa. Długi czas przyglądałam się temu stulicemi Proteuszowi, który, zdarzało się, owładał i mną. Czyniłam doświadczenia, równie skrupulatne, poważne i bezstronne nad sobą jak i nad innemi. Przyszłam do wniosku, że tak jak przed d-rami Charcotem i Croo-kesem, Zollnerem, tak samo przed mojemi oczyma— działała ta sama siła; lecz że różnorodność jej przejawów zależy głównie od takiejż różnorodności ludzkich organizmów; dalej od środowiska i otoczenia, w jakich się przejawia; w dużym stopniu od warunków klimatycznych j, wreszcie, od kierunku umysłowego tak zwanych „medjów".

Mówiąc w dalszym ciągu o „czarach" i opierając się na świadectwie mnóstwa osób, nie samej tylko rodziny Morganów, oczywiście, używam tego terminu w przenośni. Zrozumiałe jest też, że powołując się na innych świadków, chcę tem samem odgrodzić własne zeznania od niezasłużonego podejrzenia nawet o przesadę. Innemi słowy, raczej lękam się przygany: a beau mentir qui vient de Ioin (łatwo temu łgać, co przybywa zdaleka), niż szukam usprawiedliwienia wobec sceptyków. Niema we mnie ani szacunku dla wszechprzeczącego ducha wiedzy współczesnej, ani strachu przed nim. Biorąc za fundament, za kanwę że tak powiem, mego opowiadania zarówno owoce badań i hypotezy innych osób, jak i wyniki własnych spostrzeżeń, mam na celu raczej prawdę niż le ju'en dira-t-on (co o tem powiedzą) zaprzeczających. Dlatego też w dalszym ciągu zapełniam tę kanwę faktami, przenosząc je nad wieczne hypotezy, wiecznie pękające jak bańki mydlane *),

*) Tu następuje pełna zdumiewającej erudycji egzegeza „Ramajamy", „Mahabharaty" i „Bhagawat-Ghity" i zestawienie elementów symboliczno-mistycznych z literatury sanskryckiej z danemi naukowemi z antropologii, archeologii, paleontologii etc. — jako próba rzucania światła na pochodzenie Toddów, Kurumbów i Baddagów. Cały ten ustęp, b, ciekawy, lecz zbyt specjalny, dla ogółu czytelników, opuszczamy. *W. R.*

V

O ile mogliśmy się wywiedzieć, Toddowie nie przedstawiają sobie bóstwa i nawet odrzucają dewów, których czczą ich sąsiedzi, Baddagowie. Dlatego, skoro nic podobnego do tego, co przywykliśmy nazywać religją, nie istnieje u tego dziwnego plemienia, mówić o jego religji jest dość trudno. Stosować do nich w tym wypadku przykład buddystów, którzy również nie uznają idei Boga, niepodobna: buddyści, bądź co bądź, mają bardzo zawiłą filozof je, gdy tymczasem, jeśli Toddowie mają nawet jakąś filozof je — nikt nic o niej nie wie.

Skądże więc zjawiły się u nich takie wysokie pojęcia o moralności, rzadkie i prawie nieznane u innych, bardziej cywilizowanych ludów, surowe zastosowanie do życia wszystkich oderwanych cnót, jak na-przykład, miłość prawdy, sprawiedliwości, poszanowania prawa własności i dotrzymywanie danego słowa? Czyż mamy traktować serjo hypotezę pewnego misjonarza - unitarzysty, że Toddowie to przedpotopowa reszta rodziny Enocha, „bezgrzesznych śmiertelników"? Toddowie, o ile zdołaliśmy wykryć, mają osobliwe pojęcia o życiu pozagrobowem. Na pytanie, co czeka Todda, gdy ciało jego zamieni się na stosie w popiół, jeden z teralli odpowiedział:

— Ciało jego wyrośnie trawą na tych górach i będzie karmiło bawoły. A miłość do dzieci i brata zamieni się w ogień, wzniesie się na słońce i będzie gorzała w niem wiecznym płomieniem, grzejąc bawoły i innych Toddów.

Poproszony o jaśniejsze wytłomaczenie, dodał, wskazując słońce:

— Wszystek ogień tego składa się z ogni miłości. — Ależ czyż tam płonie miłość jedynie Toddów? — zauważył jego rozmówca.

— Tak — odparł teralli — tylko Toddów, gdyż każdy dobry człowiek, biały czy czarny, jest Toddem; a źli nie miłują, dlatego nie może ich tam być.

I materjalizm, i transcendentalny mistycyzm Różokrzyżowców, strzępek, wyrwany z poglądu na świat starożytnych egipskich hierofantów... Ou la philosophie va-t-elle se wicher!.

Raz do roku na wiosnę w ciągu trzech dni jeden kłam Toddów za drugim odprawia pielgrzymkę na cypel Toddabecki, gdzie teraz leży w ruinach świątynia Prawdy. W tej świątnicy dopełniają aktu w rodzaju publicznego kajenia się i wzajemnej spowiedzi. Tam radzą i wyznają sobie grzechy świadome i mimowolne. Powiadają, że w pierwszych latach po przybyciu Anglików jeszcze składano tam ofiary: winny zatajenia prawdy (prostego kłamstwa nie znają) dawał bawolika; za uczucie gniewu na brata — bawoła, którego niekiedy skrapiano krwią z lewej ręki kającego się Todda *). Wszystkie te obrzędy i strzępki ukrywanej przez nich filozofji, jeśli coś podobnego istnieje u nich, każą ludziom, obeznanym ze starożytną chaldejską, egipską, a nawet średniowieczną magją, podejrzewać ich o znajomość jeśli nie całego systematu, to części tak zwanych nauk tajemnych, czyli okultyzmu. Jedynie ten systemat, który dzielą od niepamiętnych czasów na białą i czarną magję, może dać logiczne objaśnienie takiego, godnego zazdrości, uczucia szacunku dla prawdy i moralności u prawie pierwotnego półdzikiego plemienia, bez religji i bez przykładu czegoś podobnego u innych, znanych mu narodów i plemion. Według naszej opinji — a przeszła ona teraz w niewzruszone przekonanie — Toddowie są wyznawcami zwyrodniałem! i być może, nawpół nieświa-domemi, starożytnej wiedzy, białej magji, a Mułłu-Kurumbowie to wstrętni wyznawcy czrnej magji, czyli czarnoksięstwa.

A oto dowody.

Nietrudno przytoczyć świadectwa całego szeregu znanych w historji i literaturze mężów, od Pytagorasa i Platona do Paracelsa i Elifasa Lewi'ego, którzy, poświęciwszy się studjowaniu tej starożytnej wiedzy, uczą, że biała czyli boska magja nie może być dostępna tym, kto oddaje się występkowi lub choćby skłonny jest doń, w jakiejkolwiek postaci przejawiałby się

*) Pisze o tem kpt. Harkness w swej 'pracy z r. 1837. Nie mogliśmy odnaleźć ruin tego chramu; pani Morgan sądzi, że autor pomieszał Toddów z Baddagami.]

występek. Rzetelność, czystość obyczajów, brak egoizmu i miłość bliźniego — oto pierwsze niezbędne cechy maga. Jedynie czyści duszą „widzą Boga" mówi aksjomat Różokrzyżowców, Zarazem magja nie była nigdy czemś nadprzyrodzonem.

Tę naukę posiadają Toddowie w pełni. Do ich teralli przynoszą chorych, i oni przywracają im zdrowie. Często nawet nie ukrywają swego sposobu leczenia. Chorego kładą nawznak na słońcu i zostawiają tak na kilka godzin, podczas których Todd-lekarz wodzi po nim rękoma, kreśli swą pałeczką różne niepojęte figury po różnych częściach ciała, szczególniej w chórem miejscu i dmucha na pacjenta. Potem *bierze* czarkę mleka, wymawia nad nią zaklęcia, to jest spełnia zupełnie te same ceremonje i obrzędy co nasi znachorzy i znachorki, dmucha na czarkę i następnie poi mlekiem swego pacjenta. Niema prawie przykładu, żeby Todd, zgodziwszy się leczyć, nie wyleczył chorego. A zgadzają się oni rzadko. Do pijaka i rozpustnika nie dotkną się za nic. „Leczymy miłością, która leje się ze słońca" — powiadają — „a na takiego złego człowieka ona nie podziała". Żeby odróżnić zepsutego, czyli jak oni mówią, złego człowieka od dobrego wśród przyniesionych chorych, kładą ich przed bawołem-przodownikiem: jeśli chorego należy leczyć, bawół zacznie go obwąchiwać; jeśli zaś nie nadaje się do leczenia, bawół się rozjusza, i chorego czemprędzej zabierają.

Drugi dowód: magowie, zarówno jak ich następcy, teurgowie, surowo potępiali wywoływanie dusz zmarłych". Nie niepokój i nie wywołuj jej (duszy), iżby uchodząc nie zabrała. ze sobą czegoś ziemskiego" — mówi Pselliusz w Wyroczniach Chaldejskich. Toddowie wierzą w coś, przeżywającego ciało, ponieważ, według zeznań Baddagów, zabraniają im zadawać się z bhutami (widmami) i nakazują unikać ich tak, jak Kurumbów, słynących jako wielcy nekromanci.

Słusznie zaznacza prof. Molitor (w swej Filozofji historji i podań) *), że jedynie rzetelne przestudjowanie podań wszystkich narodów i plemion może doprowadzić wiedzę współczesną do właściwej oceny wiedzy starożytnej... Do tej wiedzy i tajemnicy—mówi— należała starożytna magja, której uczył się sam prorok Daniel, i która była dwojaka: boska inagja i szkodliwa magja czyli czarnoksięstwo. Zapomocą pierwszej człowiek szuka kontaktu ze światem duchowym i niewidzialnym; studjując drugi rodzaj magji stara się posiąść władzę nad żywemi i umarłemi. Adept białej magji dąży do spełniania dobrych uczynków; adept czarnej wiedzy troszczy się tylko o to, żeby spełniać przeróżne djabelskie, zwierzęce postępki. Tutaj, wielebny biskup bardzo jasno przeprowadza różnicę między Toddami a Kurumbami — jak i między okultysta-mi wszystkich wieków a dzisiejszemi medjami, które gdy nie są oszustami i szarlatanami, stają się nieświadomie nekromantami i czarownikami.Odrzuciwszy, dla satysfakcji materialistów, hypc-

*) *Philoicphy* o/ *hislory and Iradllirm.* Str. 285.

tezę o białej i czarnej magji, czem i jak objaśnić te tysiące nieuchwytnych w swej abstrakcyjności, lecz zupełnie wyraźnych i niedających się *zaprzeczyć* działań i wzajemnych stosunków między Toddami a Muł-łu-Kurumbami? — zapytamy, dlaczego naprzykład Toddowie leczą we dnie i na słońcu, a Mułłu - Kurum-bowie wykonywują swe szkodliwe zaklęcia tylko przy księżycu i w nocy? Dlaczego jedni leczą a drudzy zabijają i nasyłają choroby? Dlaczego właśnie Kurumb tak strasznie boi się Todda, że na widok jednego z tych ludzi, którzy nie tkną i nie zrobią krzywdy nawet psu, co ich ugryzł (gdyby jakiekolwiek zwierzę mogło ugryźć Todda), ten odrażający karzeł, zbierając swe zioła, pada na ziemię, jak przy epilepsji? To zauważyłam nie ja jedna, lecz wielu niewierzących ani w białą, ani w czarną magję sceptyków. O tem pisało wielu autorów. Oto, co mówi, między innemi, misjonarz Metz:

...„Między Toddami a Kurumbami istnieje jakaś wroga siła, zmuszająca Kurumbów do posłuszeństwa Toddom wbrew woli. Przy spotkaniu z niemi karzeł pada na *ziemią* w ataku, podobnym do padaczki. Wije się po ziemi, jak robak, drży z przerażenia i wykazuje wszystkie cechy *raczej* moralnego, niż fizycznego strachu, Czemkolwiek byłby zajęty wtedy, gdy zbliża się ku niemu Todd, — a Kurumb rzadko bywa zajęty czemś godziwem, wystarczy, żeby Todd nietylko dotknął go się, lecz nawet pomachał w jego stronę swą bambusową laską (bamboorod), by zmusić Mułłu-Kurumba *) do ucieczki co sił w nogach. Lecz najczęściej karzeł potyka się i pada, czasem jak nieżywy, trwając aż do odejścia Todda w transie śmiertelnym (dead trance), — czego nieraz byłem świadkiem...**)"

Evans w swym dzienniku: „Lekarz weterynarji na Nilghiri", mówiąc o tem samem, kończy zaczęty przez Metza obraz i dodaje: •—„Przyszedłszy do siebie po pa-roksyzmie, Kurumb zaczął pełzać na brzuchu, jak wąż ł zjadać, zrywając zębami, wybierane *przezeń* na ziemi trawy, a następnie trzeć i twarz o ziemię — czynność, która słabo przyczyniała się do powiększenia jego wrodzonej urody. Mocno przesyconą żelazem i ochrą ziemię bradzo trudno zmyć z ciała. Wskutek tego, gdy mój nowy znajomy (Kurumb, usiłujący go okraść) powstał, zataczając się jak pijany po niepożą-danem spotkaniu, zjawił się przed nami, podobny do cyrkowego klowna, cały upstrzony żółto-czerwone-mi plamami i smugami"...

A oto *jeszcze jeden* fakt. Jak już było powiedziane, Toddowie nie mają ani oręża do obrony przed dzikiemi bestjami, ani nawet psa, coby uprzedził o grożącem niebezpieczeństwie. Mimo to nie *znajdziecie* we wspomnieniach najstarszych mieszkańców Utti ani

*) Ponieważ Kurumbowie dzielą się na kilku gałęzi i otrzymali swą nazwę wskutek drobnego wzrostu, szczep Kurumbów nilghiryjskich nazwano dla odróżnienia od innych karlich szczepów „Mułłu-Kurumbami" czyli *karty-tlernle,* gdyż żyją zazwyczaj w niedostępnych leśnych matecznikach, gdzie przeważają ciernie (mułłu).

**) *Remlnlicencet of llfe among Toddas,* („Wspomnienia z życia wśród Toddów"). Str. 114

jednego wypadku zabicia lub nawet poranienia Todda przez tygrysa -czy słonia. Pożarty *przez* dzikie zwierzęta bawolik—o bawole nawet mowy niema—ze stad Toddów jest wielką rzadkością; porwanie przez tygrysa ich dziecka lub kobiety to rzecz niesłychana. I to, proszę zwrócić uwagę,

dzieje się w okolicach, gdzie jeszcze i teraz, w 1883 roku, kiedy Góry Błękitne są gęsto zamieszkałe, niema tygodnia, żeby obyło się bez nieszczęśliwego wypadku z ludźmi, a jedna trzecia tabunów i stad zgóry uważana jest za przepadła, jako pastwa drapieżnych bestii. Kulisi, pastuchy, dzieci tubylców, a i ojcowie ich również mniej lub więcej narażeni są na okrutną śmierć, zadaną przez krwiożerczego tygrysa lub błądzącego samopas, oszalałego słonia. Tylko Todd potrafi siedzieć po całych dniach na skraju puszczy i drzemać spokojnie, obojętny i pewny swego całkowitego bezpieczeństwa. Jakże więc mamy objaśnić sobie ten wszystkim wiadomy, przez wszystkich zauważony fakt? Przypadkiem, jak objaśnia się u nas wszystko, czego niemożna objaśnić? Dziwny jednak przypadek; taki zbieg okoliczności powtarza ssę, w oczach Anglików, oto już od sześćdziesięciu zgórą lat; i w każdym *razie, jeśli* go trudno sprawdzić, a jeszcze trudniej dowieść w epoce przed przybyciem Europejczyków, obecnie sprawdzono go całkowicie. Nawet przysięgli statystycy wzięli pod uwagę i zanotowali ten fakt, choć i tutaj sprawa nie obeszła się bez naiwności.

„Toddowie prawie (?) nigdy nie podlegają napadom dzikich zwierząt"—czytamy w „Uwagach do tablic statystycznych" za r, 1881 — „prawdopodobnie dzięki jakiejś, im tylko właściwej, specyficznej woni, odpychającej zwierza"!

Boże, cóż za naiwność!,..

To „prawdopodobieństwo" specyficznej woni zasługuje na wydrukowanie złotemi literami!.,. Lecz nawet taka specyficzna bzdura milsza jest przysięgłym sceptykom, niż kłójący ich w oczy niezbity fakt.

W tej niezaprzeczalności faktów, przed którą Europejczyk, jak struś zamyka oczy i chowając głowę, łudzi się nadzieją, że nie zobaczą jej inni, leży właśnie rozwiązanie zagadki, dlaczego Toddowie budzą z jednej strony zbożną cześć, z drugiej lęk, prawie we wszystkich innych plemionach, zaludniających te góry. Baddagowie ich ubóstwiają, a Mułłu-Kurumbowie drżą przed niemi. Jeżeli przy spotkaniu twarz.w twarz ze spokojnie idącym Toddem, który trzyma w ręku tylko nieszkodliwą i niewinną z pozoru laseczkę, — strach rzuca Kurumba na ziemię, uczucie zbożnej miłości i oddania każe Baddagowi czynić to samo, lecz dobrowolnie. Bacldag, zdaleka ujrzawszy Tódda, pada przed nim plackiem i w milczeniu czeka na pozdrowienie i błogosławieństwo; i Baddag jest zupełnie szczęśliwy, gdy jego dew, musnąwszy bosą nogą głowę swego czciciela, nakreśli w powietrzu dla niego samego tylko zrozumiały znak i potem spokojnie oddali się „z obliczem dumnem i beznamiętnem, jak w u greckiego boga" wedle wyrażenia kapitana O'Gredy.

Lecz jakże patrzą na to fanatyczne uczucie zbożnej czci Baddagów dla Toddów Anglicy i jak je objaśniają? W sposób zgolą naturalny i prosty. Odrzucają jako głupią bajdę, podanie Baddagów o tem, jak i dlaczego zrodził się w ich praszczurach taki stosunek, i objaśniają tę legendę po swojemu. Pułkownik Marschall, naprzykład pisze w swej pracy:

„Uczucie to jest tem dziwniejsze, że według statystyki, Baddagów wykazywano od początku jedenaście razy więcej, niż Toddów. Jest to proporcja dziesięciu tysięcy do siedmiuset. Lecz nikt i nic nie odbierze przesądnemu Baddagowi przekonania o tem, że Todd jest istotą nadprzyrodzoną, Toddowie fizycznie są olbrzymami, a Baddagowie to ludzie niezbyt rośli, choć nadzwyczaj muskularni i silni, W tem cały sekret".

Wcale nie cały. Dlaczego naprzykład, ani Kochtarzy (Chotty), ani Erullarzy — oba plemiona bardzo małego wzrostu i słabej budowy w porównaniu z Baddagami — chociaż szanują Toddów i zawsze są z niemi w przyjaznych stosunkach, nie wykazują jednak wobec nich żadnej uniżoności? Żeby pojąć tę zagadkę, trzeba znać historję Baddagów i wierzyć im, jeśli nie bezwzględnie, to w każdym razie nie odrzucając ich dobrowolnych zeznań. Cala rzecz, naszem zdaniem, w tem, że Baddagowie to bramini, chociaż bardzo spłowiali i zwyrodniali; Erullarzy zaś i Kochlarzy to poproś tu par jasi. Jako bramini z przedmuzułmańskich czasów w Indjach, Baddagowie wiedzą wiele z tego, co dla innych pozostaje martwą literą. Co mianowicie, wyjaśnimy w następnym rozdziale; a narazie pomówimy trochę o Baddagach i ich religji. Jak wszystko na Górach Błękitnych, nosi ona cechy oryginalności i niespodzianki.

Na nagiej wyżynie Rangasuamskiej turni stoi ich jedyna opuszczona świątnica. Cała ich religja składa się z obrzędów, których sens dawno zatracili. Ta turnia to ich Mekka, dokąd udają się dwa, trzy razy do roku wymawiać zaklęcia przeciw większości właśnie bramińskich bóstw. Zdaniem pułkownika Aughtorle-ya, wielkorządcy gór, Baddagowie to jedna z najbardziej tchórzliwych i zabobonnych ras Indji,.,. „Żyją oni w nieustannym strachu przed złemi duchami, krążące-mi w ich wyobraźni ustawicznie dokoła nich, i w ta-kiemż bezgranicznem przerażeniu na samą myśl o Ku-rumbach. *Przerażenie,* jakie w karłach budzą Toddowie, karły z kolei budzą w Baddagach",

Posłuchajmy, co doświadczony pułkownik mówi w swem uczonem *dziele* o zabobonach biednych Baddagów:

„Chorobę śród ludzi, czy pomór bydła, słowem każdy przykry wypadek w ich rodzinach, zw'łaszcza rujnujący Baddagów nieurodzaj, natychmiast przypisują oni urokom złych czarowników, Kurumbów; i lecą szukać pomocy w przeciwdziałających zaklęciach dobrego Todda... Do takiego stopnia zakorzenił się we wszystkich plemionach Nilghiri ten głupi zabobon, że już musieliśmy bardzo często oddawać pod sąd Baddagów za wymordowanie do nogi całych rodzin Ku- " rumbów, jak również za spalenie ich osiedli. W takich wypadkach niema nic trudniejszego, jak wydobyć zeznania przeciw Baddagom z innych plemion. Skoro tylko okaże się, że ofiarą był Kurumb, a przestępcą Baddag, prawie niepodobna rozwiązać język świadka. Mordercę trzeba zawsze wieszać z wielkiemi środkami ostrożności, żeby nie wywoływać wzburzenia krajowców. Oburzenie i zdumienie plemion ntlghirskich z powodu wyroku jest jeszcze zrozumiałe. Wszczepione im *przez* religję zasady uczą ich, że jedyny środek, by uśmierzyć gniew bogów, wywołany śmiercionośne-mi czarami przeciw ludziom, bydłu lub zasiewom Ku-rumbów i innych złych czarowników, polega na tem, żeby winowajcę złożyć na ofiarę bóstwu „zemsty".

Lecz jak pojąć lub objaśnić lęk przed Toddami innych tubylców Indji, pochodzących z dolin, lęk, wywołany zabobonną czcią Baddagów",

„Baddagowie zarazem nierzadko sami uciekają się do pomocy i współdziałania Kurumbów, zwłaszcza gdy idzie o jakiś nieczysty lub nieprawny nabytek. Wówczas zwracają się oni, za pośrednictwem karłów, do wyobrażanych sobie u podległych Kurunbom złych duchów"... (Statistical Records of Nilgherry).

Tak więc pisze wielkorządca i pisze słusznie, choć nie wdaje się w szczegóły, w które stara się nie wierzyć. O jednem zresztą nawet Anglicy musieli się przekonać: w takie „nieczyste" sprawy nigdy jeszcze nie był zamieszany żaden Todd. Pomocy, której Bad-dagowie nierzadko szukają i zawsze ją znajdują u Kurumbów, nie mogliby się spodziewać od po rycersku prawychToddów i w tych razach zawsze przekupują czarowników...

Takie, zupełnie nienormalne i pełne wzajemnego antagonizmu uczucia Baddagów do Kurumbów są nad zwyczaj interesujące z psychicznego punktu widzenia. Baddagowie nienawidzą Kurumba, drżą przed nim z przerażenia a, mimo to, ustawicznie potrzebują go. Chciwość i żądza zysku przezwyciężają w nich i wrodzony strach, i zakaz Toddów używania czarowników w ciemnych sprawach. Żaden posiew, żadna sprawa u Baddagów nie obejdzie się bez pomocy „czarnego zaklinacza", jak nazywają oni to wstrętne stworzenie — Mułłu-Kurumba...

„Na wiosnę, w czasie siewów, żadna robota polna nie rozpocznie się, póki Kurumb nie poświęci jej ofiarą z koźlęcia lub koguta (zawsze czarnych) na polu, lub póki nie rzuci pierwszej garści ziarna, wymawiając wiadome zaklęcia. Żeby mieć dobry urodzaj, Baddagowie zwracają się do Kurumba o rozpoczęcie bronowania, a podczas żniw i wogóle zbiorów o skoszenie pierwszego snopu lub zerwanie pierwszego owocu .

Dalej, tytułem uczonego objaśnienia, autor stara się wskazać przyczynę takiego godnego uwagi zabobonu. Na stronicach 65 i 66 czytamy co następuje:

„Kurumb jest śmiesznie (ridiculously) małego wzrostu. Jego chuderlawa, zwiędła powierzchowność z całym lasem nieczcsanych i związanych w wielki pęk na czubku głowy włosów; jego wogóle budząca obrzydzenie postać w zupełności objaśniają głupi przed nim strach

tchórzliwego Baddaga. Potkawszy się z nim niespodzianie na drodze, Baddag umyka przed nim, jak przed dziką bestją*). I jeśli nie zdołał ujść w porę od tak zwanego „żmijowego spojrzenia" (viper's glance) czarownika, Baddag natychmiast wraca do domu i, z bezradnością skazanej nieodwołalnie ofiary, poddaje się nieuniknionemu, według niego, losowi. Wykonywa nad sobą wszystkie, przepisane rytuałem obrzędy i przedśmiertne ceremonje: rozdziela, jeśli posiada jakąś majętność, swe nieruchomości, pieniądze i pola między krewnych; kładzie się i gotuje na śmierć, która (niedorzecznie nawet pomyśleć o tem!) następuje między trzecim a trzynastym dniem po spotkaniu! „Taka jest moc przesądnej imaginacji, — naiwnie objaśnia autor — że prawie nieuchronnie zabija w wyznaczonym czasie głupiego biedaka,.." Wspominam także o silnie zakorzenionym wśród ludu takim samym zabobonie, dotyczącym Toddów. Ci, według ich pojęć, posiadają *jeszcze* godniejszą uwagi moc w dziedzinie magji: tylko że Toddowie uważani są za zacnych, dobrych czarowników (dżaddu). Między te-mi dwoma plemionami Baddagowie mają równie niełatwe *życie,* jak osioł w stajni między dwoma końmi. Muszą płacić daninę Toddom, na znak swego dla nich szacunku, a *zarazem i* Kurumbom, żeby ten nie zepsuł zasiewu. Zresztą Kurtimbowie, o ile rząd zdołał

*) Autor powinien był zresztą dodać, że Baddag ucieka tylko przed Kurumbami, wrogo usposobionymi dlań. Przed innymi Kurtimbami nie ma powodu uciekać. Lecz jeśli Kururnb zły jest na kogoś, to, jak zaraz pokażemy, staje się rzeczywiście niebezpieczny.

zbadać ich byt, żyjąc tyle wieków w lasach, zdobyli dużo wiadomości w zakresie własności różnych ziół i korzeni. Umieją oni wyleczyć nawet takich chorych, których kurować sami Toddowie nie podejmują się *), przyczem oczywiście, często i zabijają—„nie czarami i zamawianiem a poprostu jadem roślinnym i przez pomyłkę".

Tem uczonem objaśnieniem kładzie się trupem na miejscu wszelki „przesąd". Proszę zwrócić uwagę na podkreślone wyżej ustępy. W rozdziale trzecim czytaliśmy opinję o tych sprawach pani Morgan i zdarzenia z Butstenem. Oto drugi wypadek, bardzo podobny do tamtego, tylko że z zupełnie innym wynikiem. Jeżeli sama moc przesądnej imaginacji zabija lub zdolna jest zabić w wyznaczonym czasie, nastraszonego biedaka, to jak szanowny autor objaśni następujący wypadek? Zdarzył się on bardzo niedawno i w Nilghiri pamiętają go. Anglo-indyjscy „bar-saabowie" mają okazję spotykania się z pół-dzikiemi, brudnemi Kurumbami tylko w puszczy, to znaczy w dziewięciu wypadkach na dziesięć podczas polowania. Dlatego też i powtórne' starcie między angielskim urzędnikiem a Kurumbami wynikło również z powodu słonia.
Bohaterem tego wydarzenia był człowiek na dość wysokiem oficjalnem stanowisku. Znali go wszyscy, jako jednego z tuzów towarzystwa, a rodzina jego, zdaje się jeszcze dotychczas nie opuściła Kalkuty, gdzie młoda wdowa po nim mieszka u jego starszego brata,

*) T. j. pijaków, z zarażoną i zepsutą krwią (patrz. Rozdz. III).

Bardzo ją lubiła generałowa Morgan, i to jest jedynym powodem, dlaczego nie mogę, jak w pierwszym wypadku, podać jego całkowitego nazwiska. Obiecałam **że** nie będę go nazywała, choć w opisie tego zdarzenia poznają go wszyscy, którzy bywali w Madrasie... Mr, K., jak go nazwiemy, pojechał na polowanie z kilku znajomemi,, kilkunastu szikarami (myśliwcami — tubylcami) i liczną służbą. Słonia zabito, i dopiero wtedy myśliwi zauważyli, iż zapomnieli zabrać ze sobą specjalny nóż do wycinania kłów. Postanowili zostawić zwierzę pod dozorem czterech myśliwców — Baddagów, żeby *zabezpieczyć* je przed dzikiemi bestiami, i udać się na śniadanie do sąsiedniej plantacji. Stamtąd K, miał powrócić za dwie godziny po kły.

Program, zdawało się, nietrudny do wykonania. Mimo to, nie zdążył K. powrócić, a już powstała mała przeszkoda. Na słoniu zastał z dziesięciu siedzących Kurumbów, gorliwie pracujących nad wyjęciem kłów. Nie zwracając uwagi na dygnitarza, oznaimili mu z zimną krwią, że ponieważ słoń został zabity na ich ziemi, uważają i samo zwierzę za swoją własność. Istotnie, lepianki ich znajdowały się o kilkadziesiąt kroków stamtąd. Łatwo zrozumieć, jak musiało rozwścieczyć takie zuchwalstwo wyniosłego Anglika. Rozkazał im wynosić się, póki są cali; w

przeciwnym razie każe swym ludziom przepędzić ich harapami. Kurumbowie roześmieli się bezczelnie i robili dalej swoje, nie spojrzawszy nawet na bar-saaba.

Wówczas K. krzyknął na służbę, żeby rozpędziła karłów siłą.

Było z nim ze dwudziestu myśliwców uzbrojonych; sam K, był to rosły, przystojny mężczyzna, trzydziestopięcioletni, znany zarówno ze swego kwitnącego zdrowia i wielkiej siły, jak i zapalczywości. Kurumbów było zaledwie dziesięciu, prawie nagich i bez żadnej broni. Czterej Baddagowie, pozostawieni przy słoniu, rozbiegli się, podczas nieobecności reszty myśliwych, na pierwsze żądanie Kurumbów, Zdawało się, wystarczyłoby trzech ludzi żeby rozpędzić rabusiów— karłów. Jednakowoż rozkaz K, został bez skutku: nikt się nie ruszył z miejsca.,.

Wszyscy stali, dygocąc ze strachu, zzieleniali, z opuszczonemi głowami. Część myśliwców w tej liczbie kryjący się po krzakach Baddagowie, rzuciła się do ucieczki i zniknęła w gęstwinie leśnej,

Kurumbowie, pokrywający, niby żuki, trup słonia, patrzyli na Anglika śmiało, szczerząc zęby i jak-gdyby wyzywając go na rozprawę.

Mr. K, ostatecznie stracił panowanie nad sobą.

— Czy przepędzicie wreszcie tych włóczęgów, podii tchórze?!... — krzyknął.

,

— Niemożna, saabie, — zauważył siwy szikari— niemożna: to dla nas pewna śmierć... Oni są na swej ziemi.,..

— Na gniewne zaklęcie spiesznie zsiadającego z konia K., wódz Kurumbów, potworny, jak wcielony grzech, nagle stanął na łbie słonia i jął w łamańcach skakać po niej, szczerząc zęby i zgrzytając niemi, jak _ szakal. Potrząsając ohydną głową i kułakami, wyprostowany teraz, Mulłu-Kurumb powiódł ziemi, świecącemi jak u żmiji, wpadłemi oczkami po zebranych i krzyknął: Kto pierwszy dotknie się naszego słonia, rychło wspomni nas w dzień swej śmierci. Nie ujrzy nowiu!...

Pogróżka ta była zresztą zbyteczna. Służba urzędnika jakby się zamieniła w kamienne posągi.

Wówczas rozwścieczony K., piorąc po drodze grubym harapem winnych i niewinnych, rzucił się z przekleństwami na Kurumba, chwycił go za włosy i szmyrgnął het od siebie na ziemię. Pozostałych, którzy, czepiając się jak wampiry uszu i kłów martwego słonia, stawiali opór, poturbował nahajem i rozpędził w minutę.

Uchodząc, zatrzymali się o jakieś dziesięć kroków od K., który sam zabrał się do wyrzynania kłów. Według słów jego służby, podczas całej operacji karły nie spuszczały z niego oka.

Skończywszy robotę, K. oddał kły ludziom, by zanieśli je do domu, a sam już miał włożyć nogę w strzemię, gdy wzrok jego znowu spotkał się ze wzrokiem pokonanego przezeń przywódcy Kurumbów.

— Ślepia tej gadziny zrobiły na mnie wrażenie spojrzenia ohydnej ropuchy... Uczułem dosłownie mdłości — opowiadał tegoż wieczora przy obiedzie zebranym u niego gościom. — Nie mogłem powstrzymać się — dodał *z* drganiem wstrętu w głosie — i uderzyłem go *jeszcze* kilka razy harapem... Karzeł, leżący dotychczas bez ruchu w trawie, tam, gdzie go cisnąłem, szybko skoczył na równe nogi, lecz, kmojemu zdumieniu, nie uciekł, a tylko odszedł nieco dalej i wciąż patrzył na mnie uporczywie....

— Szkoda, że pan się nie powstrzymał — ktoś zauważył — te potwory rzadko przebaczają,

K. wybuchnął śmiechem:

— Upewniali mnie co do tego i szikarowie. Jechali do domu, jakby ich skazano na śmierć,.. Oka się boją!,.. Głupi, przesądny lud. Dawno należało im otworzyć oczy na to oko. Sławetny „wzrok bazyliszkowy" wzbudził we mnie tylko lepszy apetyt,..

I w dalszym ciągu wyśmiewał zabobon Indusów przez cały wieczór.

Nazajutrz, pod pretekstem, że bardzo się zmęczył poprzedniego dnia, K. wstający, jak wszyscy w Indjach, bardzo wcześnie, przespał południe. Wieczorem mocno go rozbolała prawa ręka.

— Zastarzały reumatyzm — rzekł, — za kilka dni *przejdzie.*

Lecz następnego dnia rano uczuł się tak słaby, że ledwie mógł chodzić, a na trzeci dzień — położył się do łóżka nadobre. Lekarze nie *znaleźli* u niego żadnej choroby. Nie było nawet gorączki, tylko niepojęte osłabienie i jakieś dziwne znużenie we wszystkich członkach.

— Zupełnie jakby wlano we mnie ołowiu, zamiast krwi — mówił do znajomych.

Apetyt, podniecony, jego zdaniem, *przez* „wzrok bazyliszkowy", odrazu przepadł; chorego zaczęła meczyć bezsenność. Nie pomagały żadne środki usypiające. Zdrowy, jak byk, rumiany i atletyczny K. prze-mienił się po czterech dniach w szkielet. Piątej nocy, którą spędzał, jak zwykle od dnia polowania, z otwartemi oczyma, zbudził domowników i śpiącego w sąsiednim pokoju lekarza głośnym krzykiem:

— Wypędźcie tę plugawą gadzinę!.,. — wołał.— Kto śmiał wpuszczać do mnie to zwierzę?... Czego ono chce?... Czemu tak patrzy?.,.

Zebrawszy resztę sił, cisnął w kierunku dlań tylko widzialnego przedmiotu ciężkim lichtarzem, trafił w lustro i rozbił je w kawałki.

Lekarz orzekł, że chory zaczął bredzić. K. krzyczał i jęczał do samego rana, upewniając, że widzi w nogach łóżka pobitego *przez* niego Kurumba. Nad ranem zjawa zniknęła, lecz K, upierał się przy s wojem:

— To nie była maligna — szeptał z trudem, — Karzeł w jakiś sposób zakradł się.,. Widziałem go w żywem ciele, nie w wyobraźni.

Następnej nocy, choć czuł się jeszcze gorzej i zaczął istotnie majaczyć, nie widział już nikogo. Lekarze zachodzili w głowę, nic nie rozumiejąc, i zadecydowali, że była to jedna z licznych, nieuchwytnych odmian „febry błotnej" (jungle fever) Indji,

Dziewiątego dnia K, stracił mowę, a trzynastego dnia zmarł. Jeżeli „moc przesądnej imaginacji zabija w wyznaczonym czasie głupiego biedaka", jakaż to siła zabiła niewierzącego w nic, bogatego i wykształconego dżentelmena?

Dziwny zbieg okoliczności, odpowiedzą nam, prosty przypadek. Wszystko jest możliwe. Tylko, że już zbyt jest wiele takich przypadków w kronikach Nilghiri. żeby nie przedstawiały one arcydziwnego zjawiska, dziwniejszego od samej prawdy w tych sprawach. Niechaj niewierzący rozpylają przód serjo takich dawno osiadłych mieszkańców tych gór, jak generał Morgan i inni, naoczni świadkowie, a dopiero potem niech wyprowadzają swe wnioski. Jeśli bywały wypadki, że *ludzie* umierali wskutek samego strachu i imaginacji, to *przecież* niemożna i nie *należy* zamieniać wyjątków w niezłomną zasadę. A w tem właśnie leży cała trudność *zadania, że,* według zeznań wielu Anglików, nie było *jeszcze* wypadku, żeby tubylec a zwłaszcza Baddag, który dostał się pod działanie „złego oka" rozdrażnionego Kurumba, wyszedł z tego cało. Według ich słów, w takich razach jeden jest tylko ratunek: „udać się w ciągu pierwszych trzech godzin po spotkaniu do Toddów i błagać ich o ratunek. Wówczas, jeżeli teralli da swe przy-zwolenie, każdy Todd może z łatwością wyciągnąć jad z zatrutego okiem człowieka. Lecz biada temu, kto się znajduje wtedy dalej niż w trzygodzinnej odległości od Todda, lub *jeżeli* Todd, popatrzywszy na urzeczonego okiem, z jakiegokolwiek powodu odmówi „wyciągnięcia jadu". W takim wypadku choremu grozi pewna śmierć. Ten fakt, że Toddowie zawsze wyleczą, gdy wezmą się do tego, i że urzeczeni okiem, którym odmówią leczenia, zawsze umie- " rają, dowodzi, że nie jest to pusta gadka ludowa.

Jak objaśnić taką osobliwość?

(Tu autorka, ulżywszy swemu bojowemu temperamentowi jedną z wielu napastliwych, sarkastycznych dygresji pod adresem nauki oficjalnej, usiłuje dowieść, że skoro ta nauka traktuje poważnie m-smeryzm i hypnotyzm, winna równie poważnie traktować ludowe czarnoksięstwo — synonim tamtych sił, istniejące od czasów przedhistorycznych u ludów wszystkich ras, z jednakowemi zasadniczemi przejawami i z pokrewną techniką zamawiań, urzekania, zaklęć i t. d.

Przy sposobności krytykuje teorję znakomitego neuropatologa Charcot'a, urządzającego z niezliczonych rozgałęzień tej tajemnej siły (hypno-tyzmu), „skład wielkich i małych histerji".

Pozostawiając na stronie polemiczne wywody Bławatskiej, jak to czyniliśmy dotychczas, dla nadania jednolitego, o ile tylko było można, charakteru temu opowiadaniu, zacytujemy z tego rozdziału jedynie znamienne zachowywanie się władz angielskich w wypadkach zbrodni między krajowcami na tle wiary w czary. W. R.).

Wszyscy tu pamiętają straszną tragedję na wyżynach nilghirskich, jaka rozegrała się we wsi Ebanaudzie, wszystkiego o kilkanaście mil od Utti. Sołtysowi zachorowało dziecko i zaczęło powoli zamierać. Ponieważ było już kilka tajemniczych wypadków śmierci w ciągu poprzedniego miesiąca — chorobę tego dziecka Baddagowie przypisali natychmiast „wzrokowi żmijowemu" Kurumba. Zrozpaczony sołtys upadł do nóg sądowi, t. j. podał skargę. Anglo-indusi zaśmiewali się z niej przez trzy dni, a monegara wygnali z sądu na zbity łeb. Wówczas Baddagowie zdecydowali się na samosąd: spalić sioło Kurumbów do ostatniego człowieka. Zwrócili się do jednego z Toddów, błagając, żeby poszedł razem z niemi podpalać: bez Todda bowiem żaden Kurumb ani w ogniu nie spłonie, ani w wodzie nie utonie. Taka już jest fama ludowa, i wierzą w nią święcie. Zwoławszy naradę, Toddowie zgodzili się: zapewne, ich „bawoły tak postanowiły". W towarzystwie jednego Todda wyruszyli Baddagowie, i oto pewnej ciemnej, wietrznej nocy podpalili z kilku stron osiedle-karłów. Ani jeden nie ocalał. Wyskakujących z płomieni Kurumbów chwytali na widły i wrzucali w ogień z powrotem lub zabijali siekierami.

Zginęło 167 czarowników ze swemi czarownicami i bachorami. Ocalała tylko jedna stara wiedźma, która w czasie popłochu ukryła się w krzakach. Ona też zadenuncjowała podpalaczy. Aresztowano wielu Baddagów i z niemi Todda, pierwszego przestępcę od założenia Utti, z tego plemienia. Lecz nie udało się Anglikom powiesić go, W wilję egzekucji Todd przepadł gdzieś, a ze dwudziestu Baddagów zdążyło umrzeć w więzieniu „na rozdęcie brzucha". Było to kilka miesięcy temu; a taki sam akurat dramat rozegrał się przed trzema laty w Kataghiri. Na-próżno obrońcy i nawet prokurator kładli nacisk na okoliczności łagodzące, głęboką wiarę wszystkich krajowców w czary i zło, jakie Kurumbowie bezkarnie, wyrządzali podsądnym. Żądali, jeśli nie uniewinnienia, to przynajmniej nie skazywania oskarżonych na karę śmierci. Wszystko było daremne. Uczeni angielscy mogą jeszcze uwierzyć, pod bardziej naukowym terminem, w istnienie „złego oka" i psucia czegoś zapomocą uroku. Sądy angielskie — nigdy. A jednakowoż prawo, które raptem dwieście lat temu skazywało rokrocznie tyle tysięcy czarowników i czarownic na stos i tortury, po dziś dzień żyje w Anglji. Z prawa tego nie czyni się w zasadzie użytku, ale nie jest ono jeszcze skasowane. To też, gdy zjawi się konieczność, w rodzaju chęci zadośćuczynienia głupiej i zarozumiałej publiczności, w osobach świętoszków i takich ateistów, jak prof. Lancaster, ukaraniem amerykańskiego medjum (Sleeda) — to starożytne prawo dobywa się z kurzu zapomnienia i stosuje do „przestępcy", którego całą winą jest nie-popularność. Lecz w Indjach prawo to jest niepotrzebne. Przeciwnie, mogłoby się stać nawet szkodliwe, pokazując krajowcom, iż był czas, kiedy i ich władcy podzielali ich „zabobony". Potęga opinji publicznej w Anglji jest tak wielka, że przed nią nawet prawo siedzi cicho!

VI

Rozumie się samo przez się, że urzędnicze lub oficjalne Anglo-Indje, zarówno jak i wszyscy sceptycy — Europejczycy, nie zwracają żadnej uwagi na niepodlegające doświadczeniu cechy „psychizmu"— jakby się wyraził dr. Carpenter — Toddów i Kurumbów. Dla nich te cechy nie istnieją. Sceptycy albo pomijają każdy taki wypadek milczeniem, albo też, w wypadkach

najbardziej rażących, przypisują zagadkową śmierć tego, kto ściągnął na siebie zemstę Kurumbów: jeśli to był Europejczyk — febrze błotnej *) Jeśli ofiarą stał się krajowiec — przypadkowemu pęknięciu śledziony. Jest to bardzo oryginalny w Indjach organ ciała człowieczego *Jeżeli* nauka w Europie nie zdołała *jeszcze* oznaczyć dość jasno funkcji śledziony, to anglo-indyjscy urzędnicy poznali ją doskonale. Śledziona gra tutaj we wszystkich podejrzanych wypadkach nagłej śmierci, zwłaszcza

*) Ten rodzaj febry nie ścina człowieka z nóg do ostatniej chwili. Choroba objawia się nieustannem działaniem w organizmie palącego pragienia. Chory, można powiedzieć, umiera na nogach

wskutek bójek i kiedy zwycięzcą został Anglik, taką samą uniwersalną rolę, jaką we Francji gra w zjawiskach jasnowidzenia le grand boyau hysteriąue (histeryczna kiszka gruba). Rozstrzygając łatwo i szybko najzawilsze dylematy w umysłach uczonych we Francji i sędziów w Indjach, oba te organy wyświadczają tym sposobem nadzwyczajną przysługę ludzkości. Nie bez kozery nilghirscy lekarze z ich wieczną febrą błotną tak irytują szanowną panią Morgan!

Do jakiego stopnia dochodzi u sędziów pogarda dla prawdy, i jak łatwo człowiekowi dostać się w Indjach do kryminału, jeśli jest krajowcem, widać z następującego zdarzenia, które się stało niedawno w Galaghacie (Assam). Mowa, oczywiście, znowu o czarach *).

Jakiegoś bramina okradli. Mimo wszelkich starań, nie mógł on *znaleźć* ani złodzieja, ani rzeczy. Postanowił tedy uciec się do wróżby, znanej w As-samie pod nazwą Chuka-mella, czyli „ruszający się kij". Posłał po znanego w mieście czarownika imieniem Machidchar, który, przyszedł doń do domu, uciął na miejscu kij bambusowy, stanął na progu
1 czekał na przechodniów, W tym samym czasie przechodził ulicą pisarz komisjonera, niejaki Rochpar. Przywołał go i, oznajmiwszy, o co chodzi, zapytał: czy chce pomódz braminowi w odszukaniu skradzionych rzeczy. Rochpar zgodził się i zaraz wziął

*) Palrz *Assan Neto*, z* 29 maja 1884 r.

do ręki kij, nad którym Machidchar dopiero co wymówił cały szereg zaklęć...

Nie zdążył Rochpar dotknąć się bambusu — już jakgdyby zawładnęła nim jakaś moc. Zaczął biedź, krzycząc, że kij przyrósł mu do ręki i ciągnie go. Za nim oczywiście pobiegł tłum i okradziony bramin. Przybiegłszy do niewielkiego tanku (woda stojąca w cysternie), Rochpar odrazu wetknął trzcinę w nie-głęboką wodę i powiedział: szukajcie tutaj. Spuścili wodę, zaczęli grzebać i znaleźli część skradzionych srebrnych rzeczy. Zachęcony powodzeniem, bramin zapragnął znaleźć resztę, Machidchar wymówił znowu swoje zaklęcia nad trzciną i ponownie włożył ją w rękę Rochpara. Ta sama scena, to samo niepowstrzymane parcie naprzód. Tym razem pisarz pobiegł w innym kierunku, do drzewa, niedaleko od domu bramina.

— Kopcie tutaj! — krzyknął na ludzi. Zaczęli kopać i *znaleźli* resztę *). Zaczem policja, prawdopodobnie niezadowolona z takiego łatwego sposobu odnalezienia skradzionyph rzeczy,, przy którym nic z nich u niej nie przepadło, aresztowała Rochpara, oskarżając jego samego o tę kradzież. Wsadzili go do kozy na zasadzie tylko podejrzenia i, przetrzymawszy tam jakiś czas, powiedli do sądu, przed groźne oblicze sędziego, Mr. Try-

*) Podobne sceny widziałem w osadzie Dżewad, na pograniczu Kaukazu i Persji, w stepie Muhańskim. Tam popisywali się zapomocą „ciągnącej żerdzi" wędrowni derwisze - szyici. Przyp, tłom.

borna. Oskarżony, oczywiście, nie przyznawał się.

Wobec publiczności i całego sądu opowiedział, jak było; mówił, że przechodził koło domu bramina, którego nie znał, i że zgodził się na doświadczenie, nawet nie wierząc w nie. W każdym razie, mówił, gdyby on był złodziejem, z pewnością nie poszedł by tą ulicą i nie zgodziłby się zostać łapaczem. Następnie opowiadał, że wziąwszy czarodziejski kij do ręki, tracił za każdym razem świadomość; że nie on niósł kij, lecz sam kij wlókł go i t. d. Nie bacząc na to,

że prócz policji, nikt go nie oskarżał, a przeciwnie, wielki tłum obecny przy „chuka-melli" zeznawał na jego korzyść, że jego zwierzchnik ręczył zań, sędzia skazał nieszczęsnego młodzieńca-bramina na rok i trzy miesiące więzienia!

Rochpar apelował do wyższego sądu. Lecz Mr. Luttmann Johnson, nowy sędzia, zatwierdził wyrok pierwszej instancji, na tej mądrej podstawie, że skoro odnalazł rzeczy nie wahając się, to znaczy, wiedział naprzód, gdzie one się znajdują; a skoro wiedział, to niema najmniejszej wątpliwości, „że jest on albo samym złodziejem, albo paserem".

W ten sposób karjera młodego człowieka została nazawsze zwichnięta, a materjalista triumfuje.

Samo przez się jest zrozumiałe, że nie wierzę ani w czarodziejskie laski, ani we wróżby w tej formie, w jakiej widzimy je w Indjach wogóle a w Górach Błękitnych — w szczególności. Lecz wierzę w siłę magnetyczną, w jasnowidztwo i w somnambulizm. A kto wierzy w nie, ma prawo potępiać sędziego, który, przecząc wszystkiemu, nie dopuszcza możności tego nagle owładającego człowiekiem stanu, który magnetyzerowie nazywają elat lucide *). W każdym bądź razie ludzi pakują do więzienia na rok za niedowiedzione przestępstwo tylko w Indjach (Rosjanka, pani Bławatska, będąc zdaleka od ojczyzny... zagalopowała się! W. R.). Nie sądzę, żebym się bardzo myliła, wyrażając opinję, że półdzicy Kurumbowie władają całym arsenałem tej siły, której dopiero część narazić odkryli uczeni hypno-tyzerowie szpitala Salperiere, i którą w mniejszym lub większym stopniu dysponują magnetyzerowie. To samo dotyczy Toddów; przechowali oni tę naukę, nabytą prawdopodobnie przez ich praojców w czasach zamierzchłych.

Idzie zresztą nie o to, czy oba te plemiona władają taką siłą, czy nie. *Zaprzeczać* w czambuł zeznaniom tylu niezainteresowanych w tem osób, że zarówno Toddowie, jak i Kurumbowie obdarzeni są „dziwną siłą psychiczną", według wyraże-

*) Tem mocniej wierzę w niewinność Rochpara, że' zapoznałam się w Indjach z tym rodzajem czarnoksiestwa. Ukradziono mi złoty zegarek i broszkę, i odnalazła je tegoż dnia pięcioletnia dziewczynka, której fakir przywiązał do ręki taki kij. Dziewczynkę umyślnie przywieźli w tym celu ze wsi, ponieważ była *subjektem (un siujet).* A fakir czyli *tawa* (ojciec) nie wziął nawet wynagrodzenia. Przyp. autorki.
Że dar jasnowidzenia istnieje niezależnie od szerokości geogr., epoki i środowiska, dowodem znany z tego w Warszawie pan O,, w którym przejawy tej siły są bodaj bardziej zdumiewające, niż owe indyjskie. Przyp. tłom.

nią gen. Morgana, staje się *rzeczą* trudną, jeżeli nie niemożliwą. Dla nas, mieszkających w Indjach, kwestja ta jest oddawna rozstrzygnięta.

Lecz teraz pozostaje nam dowiedzieć się: jaka istnieje różnica (prócz oczywistych, z jednej strony dobroczynnych, z drugiej zabójczych jej rezultatów) między tą siłą, tak jak ona przejawia się u Toddów, a jak ujawnia się u Kurumbów, Następnie, po rozstrzygnięciu tej kwestji, o ile to się uda, wypadnie nam wybierać między wiarą bądź w czary, bądź też w możliwość tego, w co sama nauka zaczyna wierzyć.

We wiadomościach, zebranych *przez* nas o Tod-dach i Kurumbach, jest wiele pojedynczych wypadków, gdzie mamy wyraźne objawy tego, co nazywamy mesmeryzmem, a obecnie hypnotyzmem. Jeśli Toddowie leczą, jak leczył niekiedy Hipokrates i starożytni hierofanci świątyń egipskich, działaniem słońca, korzystając z własności elektrycznych jego promieni, zapomocą magnetycznych passów rękami lub magnetyzmu zwierzęcego — Mułła-Kurumbowie, podczas swych zaklęć i czarów, używają istotnie wszystkich praktyk tessalskich czarownic, o ile o nich wiemy z klassyków. Używają do tego księżyca i jego szkodliwych w pewnych porach roku promieni, zbierają zioła i gotują z nich odwary czarnoksięskie, używają krwi, posiadają wreszcie sekret, lecz najprawdopodobniej wrodzoną im, jak wężom, własność oczarowywania wybranej ofiary wzrokiem. Magnetyzer robi to samo. Różnica między uczonym hypnotyzerem, który daje rozkaz subjektowi w myśli i zmusza biedną uczciwą dziewczynę do popełnienia, słowem i czynem bezwiednych sprośności publicznie *), a Kurumbem, który, opanowawszy podstępnie łatwowiernego Baddaga, zmusza go do kradzieży i popełniania wszelkich innych przestępstw, „jakby w paro-ksyzmie kompletnej niepoczytalności, lub upoje-

nia"**) — różnica, powiadamy, jest niewielka. Między wykształconym paryżaninem — hypnotyzerem a czarownikiem — Mułła-Kurumbem znajdujemy ją tylko w stopniu napięcia siły.

Francuz będzie potrzebował jeszcze dwustu lat, zanim dojdzie do wiedzy Mułłu-Kurumba, do jego sztuki rządzenia po swojemu myśleniem i działaniem arcysłabego w porównaniu z nim organizmu ludzkiego. Sztuka architektury rozwijała się w ludzkości *przez* tysiące lat. Kret nie uczył się w uniwersytetach, a podwodne budowle bobra posłużyły ludziom za wzór. Przyroda bywa często najmądrzejszym z profesorów. Niejedno dzieło budownictwa średniowiecznego poniewiera się, zakopane w kurzu bruków

*) Widziałam to osobiście w Paryżu, a blizka krewna, zwiedzając Salpetriere, oburzona była na dwóch uczniów d-ra Char-cofa, którzy w ten sposób bawili się biedną, bezbronną dziewczyną. To nazywa się u nich ac/p.i por *suagesfion.*

) Słowa z protokółu w sprawie, toczącej się w Kosza-*-girskim sądzie, w której oskarżano Baddaga o kradzież. Bad-dag przytaczał ten fakt na swe usprawiedliwienie.

włoskich; mury cyklopów dotychczas stoją niewzruszone...

Żeby unaocznić, do jakiego stopnia praktyki Europejczyka — hypnotyzera i Kurumba — czarownika podobne są do siebie, i że w zjawiskach, wywołanych przez obu, działa ta sama siła, przytoczę dwa przykłady: jeden — 2 doświadczeń naukowych lekarza francuskiego; drugi — z obserwowanych przez nas wypadków w Nilghiri. „Ale to w Indjach!" — powiedzą nam — „w kraju ciemnoty i zabobonów!" Zaczniemy tedy od przykładu, który zdarzył się we Francji, prawie w naszych oczach, zaledwie ubiegłej wiosny i wobec wielu świadków. W dziennikach francuskich a potem i w szwedzkich, w przekładzie, pojawił się nadzwyczaj ciekawy artykuł, po którym następił szereg dalszych; a potem lekarz, co je nadsyłał do gazety (zdaje się Temps) raptem — zamilkł. Ów lekarz — magnetyzer w Lilie, już od szeregu lat czyni godne uwagi doświadczenia pod kierunkiem Char-cofa i innych luminarzów paryskich. W doświadczeniach swych doszedł do tego, że kierował uśpionym subjektem myślowo, tj. nie wyrażał polecenia nagłos, a poprostu pomyślał je lub napisał na papierze i oddawał na przechowanie trzeciej osobie. Jak zapewniał, w ten sposób był w stanie spowodować następujące, jeszcze niewidziane zjawisko, które Charcot nazwałby acte par suggestion, niekiedy nawet nie zaraz, a w do-wolnie wyznaczonym czasie, po miesiącu, nawet po kilku miesiącach. Robił naprzykład, taką rzecz: stojąc przed uśpionym subjektem, albo mówił mu cicho, prawie niedosłyszalnie, do ucha, albo też poprostu powtarzał w myśli, lub wreszcie, dla zaspokojenia sceptycyzmu przyjaciół, zapisywał takie zdanie:

„Za miesiąc (lub za tyle a tyle dni), tego a tego dnia i godziny rozkazuję mu (subjektowi) uczynić to lub owo". Dalej szła treść rozkazu i szczegóły jego wykonania. Subjekt budził się, nic nie pamiętając. Po miesiącu, tego a tego dnia i w oznaczonej *przez* hypnotyzera godzinie i minucie, czemkolwiek byłby subjekt wówczas zajęty, wypełniał rozkaz dosłownie, z niesłychaną dokładnością i nie bacząc na żadne przeszkody. Wykonywał to machinalnie, sam nie wiedząc, w jakim celu, i, choć na minutę przedtem nie wiedział, że wykona to lub owo, po spełnieniu aktu mętnie pamiętał wszystko, aczkolwiek nie mógł objaśnić, dlaczego to właśnie uczynił.

Te interesujące lecz i niebezpieczne eksperymenty doprowadziły do dramatu, i następnie zostały przerwane, zdaje się, na długo. W S. mieszkał i teraz jeszcze mieszka, gdyż to wszystko wydarzyło się na wiosnę 1884 roku, agent policyjny, un agent de surete, jak ich nazywają, znany lekarzowi. Był to zdrowy jak rydz, tęgi człowiek, trzydziestopięcioletni, nadzwyczaj nabożny i poza służbą bardzo łagodnego charakteru. Lekarz znalazł w nim wyborny subjekt. Po-chwyciwszy biednego agenta w szpony swej władzy, robił z nim najrozmaitsze doświadczenia. Oto co, po uprzedniem porozumieniu z przyjaciółmi, wreszcie urządził: Agent spał. Ani rozżarzone korki, ani głębokie ukłucia szpilką pod paznogcie, ani wystrzał z pistoletu nad samem uchem nie mogły go rozbudzić. Jednem słowem, znajdował się w stanie kataleptycznym. Wówczas *lekarz* wyszedł z trzema przyjaciółmi do drugiego pokoju, i jeden z nich, napisawszy na kawałku papieru rozkaz, oddał go magnetyzerowi. Ów powrócił do subjektu, przeczytał sobie po-

cichu to, co było napisane, i myślowo kazał agentowi spełnić ściśle za trzy tygodnie, o drugiej popołudniu następujące przestępstwo:

„Oto ostry malajski nóż" — rzekł doń w myśli, podając mu niewielką drewnianą linję, — „Chowam go do tej oto szafy. Tego a tego dnia, o godzinie drugiej po południu weźmie go pan, nie bacząc na zamki i zapory. Pójdzie pan z tym nożem do ogrodu publicznego i zobaczy pan w (tej a tej) alei, przy siódmem drzewie ogrodnika, schylonego nad kwietnikiem i polewającego rośliny. Zakradnie się pan niepostrzeżony i zabije go, zatapiając ten nóż potrzykroć w plecy ofiary. Następnie weźmie pan szpadel, wykopie u stóp drzewa dół, zakopie ciało i uda się do prefektury policji, gdzie opowie pan swemu zwierzchnikowi o zbrodni, nie wydając jednak siebie, lecz zwalając winę na Niemca — rzeźnika, który, póki pan będzie zakopywał ciało, stać będzie koło pana ł śmiać się"...

Agent ocknął się, obudzony przez lekarza, oczywiście, nic nie pamiętając. Jak byłby przerażony i oburzony poczciwy policjant, gdyby wiedział o danem mu poleceniu. W oznaczonym dniu magnetyzer, ze śmiejącemi się z góry z tego eksperymentu przyjaciółmi, przygotowywał się do oczekiwanej sceny i ulokował w pokoju, gdzie w szafie była schowana linijka. Tego dnia, punkt o drugiej, biedny stróż porządku publicznego był na służbie. Opuściwszy swój posterunek na ulicy, zdezerterował, według wyrażenia jego surowego naczelnika. On, najlepszy z agentów policyjnych, stawiany za wzór innym, popełnił tego dnia przestępstwo Nr. 1. Akurat na pięć minut przed drugą na ulicy wynikła bójka. Gdy przebrzmiało drugie uderzenie na najbliższym zegarze miejskim, policjant zapisywał w swym carnet de police nazwiska awanturników. Ku zdumieniu zebranej gawiedzi i dwóch łobuzów, którzy już szykowali się wobec sporządzenia protokółu, do spędzenia nocy w ulu, agent naraz upuścił swój notatnik, wytrzeszczył oczy i szybko, jak automat, który puszczono w ruch, obrócił się na pięcie, poszedł ulicą, i skręciwszy w przecznicę, zginął z oczu obecnym. Wszystko to stało się tak szybko, że gdy, ochłonąwszy ze zdumienia, tłum pobiegł za nim, nie znalazł już ani śladu policjanta. Agent zniknął, i wszyscy doszli do wniosku, że zwarjował.

W tej samej chwili wchodził on do domu lekarza, nie *przez* drzwi, które znalazł umyślnie zamknięte, lecz przez furtkę od ogrodu, którą bez namysłu wyłamał. To było przestępstwo Nr. 2.

Wszedłszy do pokoju, gdzie siedział magnetyzer z przyjaciółmi, agent, w swym głębokim stanie hypnotycznym nawet ich nie zauważył. Skierował się prosto do szafy, gdzie leżała linijka, w jego wyobraźni „nóż malajski"; że szafa była zamknięta, wyjął z kieszeni *żelazne* policyjne *kleszcze i* złamał zamek. Wszystko to robił automatycznie, nie spiesząc się, ale szybko. Wyjąwszy linijkę, schował ją pod mundur i, rozglądając dokoła jakby w obawie, by go nie zauważono, ukradkiem wyszedł na ulicę. Było to przestępstwo Nr, 3. i Doktor z przyjaciółmi, oczywiście poszedł za nim i trzymał się bardzo blizko policjanta, gdyż ten, oczywiście, nie widział nikogo.

Potem agent udał się do oznaczonego przez magnetyzera ogrodu publicznego. W ogrodzie pełno było bon i dzieci; lecz ta aleja, w którą skierował się dla dokonania czwartego i najstraszniejszego w tym dniu przestępstwa, była, ku zadowoleniu czterech obserwatorów, pusta...

Imaginowany dramat stawał się coraz bardziej interesujący...

U wejścia do alei agent zatrzymał się i zaczął liczyć drzewa. Widać było, że jest teraz zdezorjentowany. Według opinji lekarza, myśl, podana przezeń agentowi, niedość jasno odbiła się w głowie subjektu: nie wiedział, po której stronie alei powinien był zobaczyć ofiarę. Lecz wahał się niedługo. Nie znalazłszy tego, czego szukał, z prawej strony, zaczął liczyć drzewa po lewej stronie i nagle, schyliwszy się, przywarł do *ziemi.* Prawdopodobnie zobaczył ogrodnika i szykował się do zabicia go...

W owej chwili wyglądał, jak dziki zwierz — opowiadali naoczni świadkowie. Jego mocno zaciśnięte zęby i wpółotwarte usta, jego szeroko rozwarte oczy, wyrażające mimo ich szklaną nieruchomość, coś dzikiego, okrutnego i zdecydowanego: wszystko to razem przestraszyło swym realizmem eksperymentatorów. Lecz ich strach niebawem przeszedł w przerażenie, gdy ich subjekt jął odgrywać z uderzającą wiernością akt imaginowanego zwierzęcego morderstwa. Począł skradać się ku niewidzialnemu dla wszystkich, prócz niego samego, ogrodnikowi, cicho i

ostrożnie, to przypadając do *ziemi,* to prostując się .i dając ogromne susy. Wreszcie dosięgną! oznaczonego drzewa i, dobywszy linijkę zza pazuchy, runął na ofiarę i wbił trzy razy linijkę w powietrze. Nachyliwszy się jakby nad ciałem, długo patrzył na nie, ocierając cały czas linijkę ze krwi, która dla niego była, prawdopodobnie, taką samą realnością, jak on sam był dla obserwujących go osób.

Jednem słowem, wykonał do najmniejszych szczegółów pomyślany przez lekarza dramat. Wykopawszy wyobrażaną łopatą wyobrażany dół, pochował w nim nieistniejące ciało. Potem wyszedł z ogrodu i poszedł w kierunku prefektury policji. Lecz tutaj dramat urwał się, i ułożony epilog nie mógł być rozegrany. Spotkał się oko w oko ze swym zwierzchnikiem, którego zresztą nie poznał. Komisarz, widząc, że agent nie zwraca nań uwagi i nie odpowiada na jego wezwanie, przywołał dwóch policjantów i kazał go aresztować, I wtedy ujawniła się w całej swej realności siła mesmeryzmu, hypnotyzmu, czarnoksięstwa — nazwijmy to, jak nam się podoba. Agent jednym zamachem ręki odrzucił precz od siebie dwóch towarzyszy, daleko od niego silniejszych, i szedł dalej tak spokojnie, jakby go nic nie zatrzymywało. W owym momencie, na szczęście, zdążył zainterwenjować doktor - magnetyzer: wstrzymał rękę komisarza, który zamierzał strzelić do zbuntowanego policjanta z rewolweru, i błagał go by poczekał jeszcze trochę.

Podbiegłszy do swego subjektu, zapomocą kilkunastu passów wyprowadził go ze stanu hypnozy. Lecz ciążył na nim daleko trudniejszy obowiązek: uratować agenta od poważnych konsekwencji jego zachowania się, przekonawszy jego zwierzchnika, że istotnie policjant od dwóch godzin znajdował się w stanie niepoczytalnym; że, je-dnem słowem, dopuścił się w szeregu innych imaginowanych przestępstw wykroczeń służbowych nieświadomie i wskutek tego powinien być uwolniony od odpowiedzialności.

Na tem właśnie polegała trudność a *zarazem* tryumf mesmeryzmu. Doświadczony hypnotyzer zwycięsko wyszedł z niełatwej sytuacji, Wykony-wując nad agentem to, co w języku magnetyzerów nazywa się passes contraires, nakazał mu pamiętać nawet na jawie jego instrukcje. „Pamiętaj pan— rozkazywał mu w myśli, — że masz zwalić zbrodnię na rzeźnika. Pokaż swemu zwierzchnikowi narzędzie śmierci, nóż malajski. Pan wie, jak i wszyscy znajomi rzeźnika, że ten nóż jest jego własnością".

Teraz nastąpiła tragikomedja. Zupełnie rozbudzony A. (agent) naraz oszołomił zebraną pu-bliczność formalnym raportem *przed* naczelnikiem, że opuścił swój posterunek dla zapobieżenia przestępstwu, lecz, niestety, zjawił się zapóźno: wpadłszy do ogrodu, zastał tam rzeźnika nad zwłokami nieszczęsnego ogrodnika i zdążył jeno wyrwać mu nóż, który oto składa władzy przełożonej.

I wyjąwszy linijkę, z powagą, uroczyście podał ją komisarzowi. Ów, rzecz prosta, jak i wszyscy obecni, wiedząc, że „ce malheureux" nigdy nie pił, orzekł, że agent dostał pomieszania zmysłów; Wówczas lekarz i jego trzej przyjaciele wystąpili naprzód i, prosząc naczelnika o zwłokę w wydaniu rozkazów, *zaczęli wyrzucać* policjantowi kłamstwo. „Do ohydnej zbrodni — mówil

— dodaje pan jeszcze gorsze przestępstwo: oszczerstwo, rzucone na niewinnego człowieka. To pan sam zabił ogrodnika. Śledziliśmy pana, widzieliśmy, jak pan trzykrotnie wbił mu w plecy ten okropny nóż malajski... Niech pan lepiej przyzna się do zbrodni... To jedno może złagodzić pański los". Teraz już ani komisarz, ani rosnący wciąż tłum nic z tego wszystkiego nie rozumieli. *Przez* chwilę uważali tych wszystkich czterech ludzi za warjatów. Lecz co musiał uczuć naczelnik, gdy jego ulubiony agent, padłszy przed nim na kolana, głośno przyznał się do swej strasznej zbrodni. Komisarz, powiadają, pobladł i koniec końców uwierzył mu. Kazał się „przestępcy" zaprowadzić na miejsce morderstwa, co ten bez wahania uczynił, raz jeszcze powtórzywszy, że zakopał zwłoki pod drzewem, i że widział to rzeźnik, na którego dlatego też chciał zwalić winę...

„Malheureux! malheureux!" powtarzał jego strapiony naczelnik, gdy podszedł *lekarz i* objaśnił mu halucynację jego agenta. Wówczas komisarz strasznie się rozgniewał i nie uwierzył słowom magne-tyzera. Dopiero gdy, rozpędziwszy gapiów, znalazł się z kilku policjantami na „miejscu zbrodni", i ujrzał, jak agent, wciąż jeszcze pod wpływem halucynacji, wskazał mu na nietknięte miejsce pod drzewem, upewniając, że „oto krew.„ a oto i trup", i jak potem pienił się, nie rozumiejąc, dlaczego inni nie widzą trupa, komisarz pojął, że to nie jest żart lekarza, lecz że pod tem kryje się coś poważniejszego, choć nie może jeszcze zrozumieć, jak się to wszystko stało. Gdy zapytali agenta, udając, że mu wierzą, dlaczego on, uczciwy, zasłużony sierżant, popełnił taką okropną bezcelową zbrodnię, odpowiedział, zwiesiwszy głowę, że nie wie. „Wlokła mnie nieprzemożona siła — mówił, — siła, której nie byłem w stanie się oprzeć, i która zmuszała mnie myśleć i czuć, że postępuję dobrze i że tak właśnie powinno się stać". Gdy ktoś wspomniał mu o starej matce, której był jedynym synem, agent gorzko zapłakał, lecz w dalszym ciągu widział przed sobą zwłoki zamordowanego i obojętnie potrącał je nogą. Trwało to, dopóki nie sprowadzono rzekomo zabitego ogrodnika. Gdy ten podszedł do policjanta i zapytał, dlaczego spotwarza siebie, agent padł bez zmysłów.

— To nic, to nic — powtarzał zafrasowany *lekarz.* — Natychmiast uśpię go znowu i ,każę mu zapomnieć o wszystkich zdarzeniach dnia dzisiejszego... Wierzcie mi, że to nie pozostawi po sobie żadnych smutnych następstw...

Lecz mylił się. Gdy agent przyszedł do siebie, ukazały się wszystkie objawy białej gorączki. Przeleżał w szpitalu trzy miesiące i niedawno dopiero wyszedł z niego. Z dobrodusznego, wesołego i dobrego chłopa stał się żywym szkieletem, chorobliwym, lękliwym, nerwowym i podejrzliwym. Wedle słów barona de G., naocznego świadka całego tego dramatu, „1'impression fut tel-le, que la mort seule pourrait l'effacer du cerveau du pauvre diable!" Wzięty w ognie zemsty komisarza i całej policji, skarg klerykałów i arcybiskupa, którzy widzieli w takiej przemocy jednego człowieka nad drugim djabelską sprawę, biedny *lekarz* miał za swoje. Widział się zmuszonym opuścić miasto rodzinne i przeniósł się do Paryża. Opowiadają, jakoby publikacja tego wydarzenia była wstrzymana staraniem klerykałów i policji — pour 1'honneur du corps.

Lecz to nie- przeszkodziło niesamowitej historji wypłynąć na świat boży. Poplątali ją, zmienili szczegóły i, staraniem osób zainteresowanych, zrobili żandarma z policjanta, a z ogrodu publicznego w Lilie — ogród szpitalny w Paryżu, Ale nawet gdybyśmy mieli się zadowolić oficjalną i nieco złagodzoną relacją*), to i tego byłoby aż nadto dla naszego porównania między praktykami hypnotyzerów a czarowników. ^ Gazety, rozwodząc się o tem wydarzeniu ł cytując wiele innych cudów hypnotyzacji, dokonanych przez znanego w Paryżu lekarza pod okiem J. B. Korrea, uprościły opowieść. „Żandarma uśpili — mówią one — i lekarz rozkazuje mu popełnić przestępstwo. Żandarm budzi się, chwyta linijkę i zakrada się do ogrodu; lecz

*) Patrz: *Journal of Medcdne* (Londyn, za sierpień), *New-Yotk Home Journal* (sierpień 1884) i gazety londyńskie.

my śledzimy go z okna i widzimy, jak podchodzi do drzewa" itd. itd. Wróciwszy do pokoju lekarza, w klinice, woła: „Aresztujcie mnie! Jestem mordercą i łajdakiem!„. Splamiłem swe, dotychczas nienaganne, życie niepotrzebnem zabójstwem. Zarżnąłem człowieka!.,." — „Dlaczego to pan uczynił"? — „Nie wiem, coś mnie pchało. On nic mi nie zrobił, ale patrzał (tj, drzewo) na mnie w sposób wyzywający. Miałem w ręku nóż (linijkę) i wbiłem mu go w plecy„. Słyszałem, jak nóż zaskrzypiał na jego żebrach! Ratunku, ratunku!" I żandarm padł bez zmysłów.

Baron de G. był świadkiem całej historji; był on jednym z przyjaciół lekarza, którzy byli obecni przy tej sprawie od początku do końca. Oczywiście, policja nie chciała, żeby taki skandal, zrobiony choćby w stanie niepoczytalnym przez jednego ze „swoich", dostał się w całości na łamy pism. Wskutek tego zaszła drobna zmiana dekoracji. Jeśli nawet rzecz odbyła się tak, jak ją opowiadają gazety i sam J, -B. Korrea (a zdarzyło nam się widzieć jeszcze większe dziwy) , to jednak jakaż jest różnica między taką władzą hypnolyzera a czarami?

Jako fakt równoległy, opiszę praktyki czarnoksięskie pewnego Mułłu-Kurumba, dokonywane na chłopcu, którego znałam osobiście w Górach Błękitnych, a potem poproszę o porównanie -obydwóch historji.

Między Kattaghiri a Utli mieszka rodzina eurazjatów, ludzi dość zamożnych. Składała się ona przed kilku laty z matki w podeszłym wieku, dwóch synów i siostrzeńca, wychowanego od kołyski przez staruszkę, przez pamięć o jej zmarłej młodszej siostrze.

Pani Simpson była to kobieta dobra i bardzo nabożna. Synowie służyli w kancelarji gubernatora, a chłopiec, wówczas jedenastoletni, chodził do szkoły misjonarzy. Innemi słowy, popołudniu miał czas zupełnie wolny i robił, co mu się podobało.

Jak i wszystkim dzieciom w zdrowych, malowniczych górach Nilghiri, pozwalano mu wałęsać się po alejach i gąszczach „miasta" do-woli. Utti jest miastem tylko na mapach Madra-su; w europejskiem znaczeniu słowa jest to miasto tylko z imienia. Prócz małej dzielnicy krajowców w dużym wąwozie, na którego dnie ciągną się dwoma rzędami drewnianych szop sklepy i bazar, a dokoła, niby jaskółcze gniazda, widnieją poprzylepiane do stromych zboczy wąwozu chatynki tubylców, w Utti niema ani jednej ulicy. Jest tam wspaniały ratusz, kościół, szpitale, kluby i nawet europejskie magazyny latem, ale ulic niema. Wille i cottage'e rozrzucone są, jak oazy, tam i sam, na nierównej powierzchni wzgórz, pokrytych dużemi drzewami, a miejscami prawdziwym lasem. Budynki stoją przeważnie u stóp pagórka lub skały, dla M ochrony od wiatru, śród wielkich ogrodów, parków i plantacji, ogrodzonych żywopłotem. Od tyłów domów prywatnych ścieżki wiodą często do nieprzebytych prawie gąszczy na stokach sąsiedniej góry, dokąd rzadko zachodzi noga Europejczyka.

Wieczorami i w nocy jest dosyć niebezpiecznie wychodzić z domu, zwłaszcza bez broni ł przechodzić przez te gąszcze. — Nieoczekiwane spotkanie z lampartem a niekiedy i z tygrysem, nie mówiąc już o zażartych dzikich kotach, zatrzymuje w domu wszystkich, kto mieszka daleko od centrum miasta lub nie ma ekwipażu.

Dom starej pani Simpson znajdował się daleko od głównych alei Utti, i akurat za domem zaczynała się taka gęstwina. Chłopcu zabroniono tam chodzić. Lecz smyk przepadał za ptakami. Miał całą szopę, oświetloną dużemi oknami i zastawioną roślinami w kubłach, gdzie urządził sobie ptaszarnię. Znajdowały się łam wszelkie odmiany ptasiego rodu, od papug do kolibrów Gór Błękitnych, maleńkich jujmu. Brak było tylko nilghłrskiej jaskółki. To malutkie żółte stworzenie, nadzwyczaj dzikie i czujne, lata bardzo wysoko, i prawie niepodobna zwabić je w sidła.

Pewnego dnia, uniesiony swą namiętnością, zabrnął daleko od domu, w głąb lasu. Przed nim skakała z drzewa na drzewo „jaskółka" i on staraj, się schwycić ptaka. Tak uganiał się za nią, aż do zachodu słońca.

Jeśli zmierzchu niema w dolinach Indji, to w Utti, otoczonem ze wszech stron dużemi górami i skałami, przejście od dnia do ciemnej nocy dokonywa się prawie momentalnie.

Zobaczywszy siebie w gęstym lesie, prawie w zupełnej mgle, chłopiec zląkł się i pośpieszył do domu. Lecz w drodze stało się z jego obuwiem coś, co go zmusiło do zatrzymania się na chwilę. Siadł na kamieniu, zdjął trzewik i zaczął szukać w nim kolki, która go urażała. Podczas tego . z drzewa zeskoczyła, prawie mu na głowę, dzika kotka. Wówczas, widząc, jak niemniej od niego samego wystraszony żbik, z małem w pysku, zje-żył się, gotów do ataku, nieszczęsny malec strasznie się przeraził i krzyknął na całe gardło. Ale w tejże chwili dwie strzały wbiły się w bok zwierza, i żbik, wypuściwszy z pyska kociaka, stoczył się koziołkując, w głęboki rów. Dwaj Kurumbowie, brudni, półnadzy, wstrętni, wyskoczywszy z zasadzki, wnet zabrali upolowaną zdobycz i zagadali z chłopcem, śmiejąc się z jego tchórzostwa.

. Mułłu-Kurumbowie nie są osobliwością w Utti. Można ich zawsze spotkać na bazarze. Podczas gdy „miodowy" Tejna-Kurumb nigdy nie podchodzi do sadyb ludzkich, „cierniowy" (Mułłu) jakgdyby szukał stosunków z białemi, u których może zdobyć jakieś anny i pejsy (drobne monety) za najpośledniejszą robotę i usługi. Dlatego też i mały eurazjata, zamiast przestrachu, uczuł wdzięczność dla dwóch karłów, którzy tak w porę wybawili go z pazurów żbika.

Chłopiec władał ich narzeczem, jak i wszyscy eurazjaci, urodzeni w tych górach. Bojąc się iść dalej sam, zaproponował im, żeby odprowadzili go do domu, obiecując wzamian dać im ryżu i wódki.

Zgodzili się, i wszyscy trzej poszli wdół. W drodze opowiedział im o swych trudnościach w zdobyciu jaskółki, i Kurumbowie obiecali mu, że za niewielkie wynagrodzenie zwabią kilka tych ptaszków w jego sieci, Kurumbowie słyną ze swego łowieckiego kunsztu: z równą łatwością chwytają małego ptaka i zwierzątko, jak zabijają tygrysa i słonia. Jako łowcy zwierząt prym trzymają w górach. Ułożyli się, że zaraz nazajutrz spotkają się w dolinie i pójdą na łów ptaszków. Słowem, zaprzyjaźnili się.

Po powrocie do domu chłopiec opowiedział ciotce o przysłudze, wyświadczonej mu przez karłów. Ta dała im trochę drobnych i wódki, lecz natychmiast odprawiła ich. Pani Simpson, jak i wszyscy eurazjaci, brzydziła się „czarnemi" wogófe, Esprit fort, nazywała wszelkie opowieści o potędze „czarowników" bajdami, ale jej odraza do małych potworów, tym razem zgoła naturalna, była bardzo silna. Zabroniła siostrzanowi jakichkolwiek stosunków z niemi, i chłopak, bojąc się stracić sposobność zdobycia wreszcie dla swej kolekcji upragnionego okazu, nie powiedział jej ani słowa o ułożonej na *dzień* następny wyprawie po ptaki. Spotkali się, i tego wieczora powrócił do domu z parą żółtych jaskółek. Ogarnięty swą namiętnością do ptaków i podniecony łowami, biedny chłopiec zapomniał tego dnia o wszelkim wstręcie do karłów i nawet nie zauważył, jak często jego ręce były w kontakcie z rękami Kurumbów, którzy kilkakrotnie dotykali go się. Pod pretekstem wychwalania jego jaskrawej kurtki w kratę, wodzili rękami kilka razy po plecach chłopca. Biedne dziecko! Mając dotychczas bardzo mało styczności z tubylcami, któremi od najmłodszych lat uczono go gardzić, jako bałwochwalcami, i „negrami", prawdopodobnie nawet nie słyszał o tem, do jakiego stopnia boją się tych karłów ci, czyjej krwi płynęło pięćdziesiąt procent i w ich żyłach.

Tu należy opowiedzieć, jak Kurumbowie chwytają ptaki. Dla powierzchownego obserwatora sposób ten jest bardzo prosty, dla uważnego — przedstawia ciekawe zjawisko. Karzeł *bierze* niewielką tykę, kręci ją w rękach, jakgdyby polerował, i umocowuje na jakieś dwie stopy od ziemi, poziomo, na pierwszym lepszym krzaku. Następnie kładzie się na ziemi w pewnej odległości, na brzuchu i, utkwiwszy oczy w wybranego przezeń ptaka, jeśli tylko •skacze on tam, gdzie Kurumb może go widzieć, czeka cierpliwie. Oto co opowiada C. Butlor, który nieraz był świadkiem takiego polowania.

„Wtedy oczy Kurumba przyjmują dziwny wyraz... Widziałem taki sam tylko we wzroku węża, gdy, czyhając na zdobycz, wpija go w ofiarę, oczarowując ją a również w ślepiach czarnych ropuch Majasuru. Nieruchomy, szklany ten wzrok płonic jakby wewnętrznym zimnem światłem, przyciąga do siebie i wraz odpycha. Za kilka rupji pewien Kurumb zgodził się bym asystował przy jego łowach. Ptak ćwierka ł fruwa, beztrosko czynny, wesoły. Raptem zatrzymuje się i jakgdyby nasłuchuje. Przekręciwszy główkę w bok, trwa kilkanaście sekund bez ruchu; potem zatrzepoce się i wyraźnie usiłuje odlecieć. Niekiedy istotnie odlatuje, lecz bardzo rzadko. Zazwyczaj, coś jakby go wciągało w zaczarowany krąg, i ptak boczkiem zaczyna zbliżać się do drążka. Piórka ma ustroszone; cicho i żałośnie piszczy, a jednak wciąż po się posuwa naprzód nerwowemi, krótkiemi skokami... Wreszcie jest obok „zaczarowanego" drążka, jednym podskokiem przeskakuje nań — i los jogo rozstrzygnięty!... Już teraz nie może ruszyć się z miejsca i siedzi na drążku, jak przyklejony. Kurumb rzuca się na biedne, oczarowane stworzenie z szybkością, jakiej pozazdrościłaby mu żmija; dajcie mu tylko trochę miedzianych groszy naddatku do umówionej zapłaty, a pożre ptaka żywego na miejscu!...*)

W ten sposób dwóch Kurumbów złowiło parę żółtych jaskółek dla małego Simpsona, Lecz wraz

') Butlor — znany w Madrasie myśliwy, rodem z Kanady. Razem z W. Dawidsonem podróżowali kilka lat z polecenia Tow. Ornitologicznego. Patrz: czasopismo *Stray Fealhers,* wydawane przez to Tow, i *Birds of India.*

z tem złowili i samego chłopca. Jeden z Kurumbów „oczarował go", jak oczarowywał ptaka. Opanował jego wolę, zaczął kierować myślami, uczyniwszy zeń poprostu nieświadomą siebie rzecz, której też używał jako swe narzędzie, według własnej woli, jak francuski hypnotyzer uczynił z agentem policyjnym. Cała różnica między dwoma procesami polegała na tem, że doktor zaczynał od widzialnych passów i używał naukowej metody hypnotyzowania. Kurumb nie czynił nic

podobnego: on, prawdopodobnie, tylko popatrzał na chłopca podczas łowienia ptaka, dotknął go się.

Od tego dnia w chłopcu zaszła widoczna zmiana. Zaczął się nudzić, stał się ospałym, przestał bawić się i biegać. Stan jego zdrowia nie zmienił się i apetyt mu dopisywał; lecz jak-gdyby postarzał o kilka lat, i domownicy często spostrzegali, że chodzi jak we śnie. Niebawem w domu zaczęły ginąć srebrne rzeczy, łyżka,cukiernice, nawet srebrny krucyfiks, a potem i złote przedmioty pani Simpson, Śród domowników powstał alarm. Pomimo wszelkich środków przezorności i starań schwytania złodzieja, rzeczy ginęły jedna za drugą z dobrze zamkniętej szafy, od której klucz pani S. zawsze miała przy sobie..,. Policja, do której się zwrócono, była bezsilna w wytropieniu złodzieja. Podejrzenie padało na •wszystkich, a nie mogło zatrzymać się na nikim. Służba w domu była dawna, i pani domu ręczyła za nią, jak za siebie.

Kiedyś wieczorom, po otrzymaniu z Madrasu przesyłki z ciężkim złotym pierścieniem, pani S., schowawszy pakiet do żelaznej szafki i włożywszy klucz od niej pod poduszkę., postanowiła nie spać całą noc. Żeby to się; lepiej udało, wyrzekła się wypicia swej zwykłej szklanki piwa przed snem. Zauważyła od pewnego czasu, ze wypicie jej sprowadzało na nią ociężałość, i że zaraz zasypiała.

Chłopiec spał w alkierzyku, obok jej sypialni. Koło drugiej w nocy drzwi z alkierza otworzyły się, i przy świetle nocnej lampki ujrzała wchodzącego siostrzeńca. Omal nie zapytała głośno, czego chce; lecz zapanowała nad sobą i z zapartym tchem czekała, co będzie dalej. Chłopiec działał, niby we śnie. Oczy jego były szeroko rozwarte, a twarz miała, jak polem /e/nawała w sądzie, wyraz surowy, prawie zwierzęcy. Poszedł wprost do jej łóżka, ostrożnie wyjął klucz z pod poduszki, tak ostrożnie i zręcznie, że ona raczej widziała niż czuła jego rękę pod głową. Polem otworzył szafkę, pogrzebał w niej, zamknął, .zaniósł klucz z powrotem pod poduszkę i wrócił do alkierza.

Pani Simpson miała tyle przytomności umysłu, że trwała nieruchoma jakiś czas potem. Jej ukochany siostrzeniec, dziecko — złodziejem! Lecz gdzież on podziewał skradzione rzeczy? Postanowiła czekać do końca i poznać tajemnicę w całej pełni.

Ubrała się szybko, pocichu i zajrzała do alkierza. Siostrzeńca tam nie było, lecz drzwi na dwór były otwarte. Idąc po jego świeżych śladach, ujrzała cień chłopca koło ptaszarni. Noc była jasna, księżycowa. Zobaczyła wyraźnie, jak schylony pod oknem, coś zakopywał w ziemię. Wówczas zdecydowała się czekać do rana, „Chłopiec jest lunatykiem — pomyślała sobie, — zapewne i reszta rzeczy tam się znajdzie. Budzić go i *przestraszać* teraz niema potrzeby".

Wróciła do siebie, lecz dopiero gdy się przekonała, że dziecko powróciło do swego alkierza.

Przechodząc obok jego komórki, przekonała się, że śpi mocno, choć oczy miał równie szeroko rozwarte, jak wtedy gdy podszedł do jej pościeli po klucz. To ją zdumiało i strasznie przeraziło. Długo stała nad nim, lecz postanowienie „czekać do rana" nie opuściło jej.

Nazajutrz rano wezwała synów i opowiedziała im szczegółowo nocną scenę. Poszli z nią do zauważonego miejsca koło ptaszarni i znaleźli miejsce świeżo rozkopane. Najwyraźniej chłopiec miał spólników.

Jak tylko wrócił ze szkoły, rozumna stara kobieta, pojąwszy, że rozpytując go się, niezawodnie nie dowie się niczego i tylko jeszcze bardziej utrudni wyjaśnienie tej ciemnej sprawy, przyjęła go jak zwykle, dała mu drugie śniadanie, i jeno czujnie obserwowała. Wstając po śniadaniu, żeby umyć ręce, zdjęła pierścionek i umyślnie zostawiła go na stole. Na widok złotego przedmiotu oczy chłopca rozgorzały, i, odwróciwszy się trochę, pani Simpson wyraźnie widziała, jak wsunął pierścionek szybko do kieszeni. Poczem wstał i obojętnie wyszedł z domu. Lecz teraz, schwyciwszy na gorącym uczynku, zatrzymała.

— Gdzie mój pierścionek, Tom? — zapytała— Dlaczegoś go wziął?

— Jaki pierścionek? — obojętnie odparł chłopiec. — Nie widziałem pierścionka ciotki....

— Masz go przecież w kieszeni, mały nicponiu! — krzyknęła, wyciąwszy mu naodlew policzek. I rzuciwszy się na stojącego spokojnie malca, wyjęła mu z kieszeni pierścionek i pokazała. Chłopiec nie stawiał oporu.

— To jest pierścionek?.„ gniewnie zwrócił się do starej, — To garsteczka złotego ziarna... wziąłem ją dla swoich ptaków.„. Za co mnie ciotka bije?...

— A wszystkie srebrne i złote rzeczy, któreś mi ukradł w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, to też tylko ziarna, według ciebie, nikczemny łgarzu i złodziejaszku! Gdzieś je podział?,.. Gadaj mi tu zaraz — inaczej, poślę po policję! — krzyczała rozsierdzona starucha,

— Żadnych rzeczy ciotce nie kradłem... Nigdy nic nie brałem bez pozwolenia, prócz trochy ziarna i chleba... dla ptaków...

— Gdzieś kradł ziarno?

— Z szafy... Ale przecież ciotka sama pozwoliła mi brać je. Takiego złotego ziarna niema na targu; gdyby było, nie prosiłbym i o to...

Pani Simpson zrozumiała, że zetknęła się oko w oko z jakąś niepojętą dla niej zagadką, ze straszną tajemnicą, której wyjaśnić sobie nie może, lecz zrozumiała również, że chłopiec — czy jest to w nim paroksyzm obłędu, czy też chroniczny somnambulizm — mówi tylko prawdę lub to, w co sam najzupełniej wierzy,..

Domyśliła się, że spudłowała. Tajemnica bynajmniej się nie wyświetliła. Chłopiec musi mieć spólników, i ona ich wykryje... Udała, że omyliła się i przyznaje się do omyłki. Serce krwawiło jej się, lecz doprowadziła swe doświadczenie do końca.

— Powiedz mi, Tom, — podjęła już łagodnie — czy ty nie pamiętasz, kiedy dałam ci pozwolenie brać dla swych ptaków złote ziarno z żelaznej szafki?...

— Tego dnia, gdy zdobyłem swe żółte ptaszki, — surowo objaśnił chłopiec. — Za cóż mnie ciotka zbiła?.,. Samaś mi powiedziała: bierz klucz u mnie pod poduszką, gdy ci będzie potrzebny; bierz złote ziarno, ono zdrowsze dla twych ptaków, niż srebrne,.. No, więc brałem,., ale już go się mało tam zostało — dodał ze smutkiem, — a bez niego wszystkie moje ptaszki poumierają!

— Kto ci to powiedział?

— „On", ten, który schwytał dla mnie ptaszki i pomaga mi karmić je.

— Któż to jest ten „on"?

— Nie wiem — z wysiłkiem odpowiedziało dziecko, trąc czoło. — Nie wiem... „on", widziała go przecie ciotka nieraz... Był tutaj, trzy dni temu, w czasie obiadu, gdy wziąłem z talerza wuja srebrne ziarno, które on położył tam dla mnie... On powiedział: bierz; wuj kiwnął mi głową, i ja wziąłem. Pani Simpson przypomniała sobie, że trzy dni temu w tajemniczy sposób zginęło ze stołu dziesięć rupji srebrem, które jej syn właśnie wyjął, żeby zapłacić rachunek. Była to zguba najbardziej tajemnicza i niepojęta.

— Komuż oddałeś ziarno?,.. Przecież wieczorem nie karmi się ptaków.,.

— Oddałem jemu, za drzwiami. On wyszedł przed końcem obiadu. Tego dnia przecież jedliśmy obiad we dnie, nie wieczorem.

— Jakto, we dnie? O ósmej wieczorem — to dzień?

— Nie wiem, lecz to było we dnie... nocy wcale nie było... i już dawno jej niema!

— O Boże! — rozpłakała się stara kobieta, plasnąwszy rękoma w przerażeniu.

— Dziecko zwarjowało, zupełnie straciło rozum!... ,

Lecz nagle oświeciła ją pewna myśl.

— No, to weź i to złote ziarno — rzekła, podając mu swoją broszkę. — Weź i nakarm ptaki, a ja się przypatrzę...

Chłopiec pochwycił broszkę i z radością pobiegł do ptaszarni. Tam, według opowiadania jego ciotki, odbyła się scena, która przekonała ją • ostatecznie o rozstroju władz umysłowych jej małego siostrzeńca. Biegał dokoła klatek i sypał wyobrażane sobie ziarno. Wiele klatek było pustych. Widocznie, ptaki często były karmione w ten sposób. Lecz

chłopiec, oczywiście, nie dostrzegał nieobecności ptaków: tarł broszkę między palcami, jakby zsypując z niej ziarno, rozmawiał z nieistniejącemi ptakami, gwizdał im i cieszył się.

-— *Teraz,* cioteczko, zaniosę resztę na przechowanie jemu... Dawniej kazał rai zakopywać resztki o tutaj, pod oknem, lecz dzisiaj rano kazał przynosić mu tam... Tylko, proszę nie iść za mną... bo on nie przyjdzie...

— Dobrze, mój kochany. Pójdziesz sam.

— Zatrzymawszy go pod jakimś pozorem na pół godziny, pani Simpson w sekrecie *przed* chłopcem posłała po łapacza targowego i, obiecując hojne wynagrodzenie, kazała mu śledzić chłopca, nie spuszczając go ani na chwilę z oczu, gdziekolwiekby poszedł.

— Jeżeli on odda co komu — zarządziła — proszę aresztować tego człowieka: to jest złodziej.

Łapacz, wziąwszy sobie do pomocy towarzysza, cały dzień szpiegował chłopca. Pod wieczór zobaczyli, że idzie w kierunku leśnej głuszy. Nagle zza krzaków wyskoczył potworny karzeł i zaczął kiwać na chłopca, który natychmiast poszedł ku niemu, jak automat. Ujrzawszy, że dziecko sypie mu coś na ręce, łapacze wyskoczyli ze swej zasadzki i aresztowali Kurumba z corpus delicti — złotą broszką w rękach,

Kurumb zresztą wykpił się z całej sprawy kilkunastu dniami aresztu. Przeciw niemu nie było żadnych dowodów, prócz broszki, którą chłopiec, jak oświadczył oskarżony, oddawał mu dobrowolnie: „niewiadomo z jakiego powodu", W sądzie zeznania małego Simpsona, który bredził o „złotem ziarnie" i nie poznawał Kurumba, uznane zostały za niemiarodajne. Po pierwsze, był nieletni, a po drugie, lekarz uznał go za nieuleczalnego idjotę. Jego świadectwo, jak również powikłane zeznanie pani Simpson, która wiedziała to tylko, co jej mówił ten niepoczytalny chłopiec, nie zaważyły na szali oskarżenia. Nawet świadectwo łapacza, które miałoby wagę, gdyż on znał tego Kurumba, jako pasera, nie mogło być w sądzie przedstawione. W dniu aresztowania karła łapacz zaniemógł i po tygodniu, na kilka dni *przed* sprawą, zmarł. Widocznie „śledziona pękła"! Towarzysz jego, skonfrontowany z Kurumbem, przysięgał się, że nic nie widział i dlatego nic nie może powiedzieć. Łapacz kazał aresztować człowieka, a on pomógł aresztować. Pozatem absolutnie nic *'zeznać* nie może. Tem się cała sprawa skończyła.

Widziałam nieszczęsnego chłopca, który ma, zresztą, teraz dwadzieścia lat. Gdy mi go pokazano, ujrzałam grubego, z obwisłemi wargami eurazjatę; siedział na ławce za bramą i strugał pręty na klatki (biedny szambelan z „Pana Jowialskiego" — gdzie to ma „dusze pokrewne!" W. R.), Ptaki wciąż jeszcze, jak i dawniej, — jego główna namiętność. Wydaje się umysłowo zdrowym w stosunku do wszystkiego, prócz pieniędzy i złotych i srebrnych przedmiotów, których nie przestaje nazywać „ziarnem". Zresztą po wysłaniu go przez rodzinę do Bombaju, gdzie spędził pod dozorem lekarskim kilka lat, i ta manja zaczyna u niego wygasać. Nie wygasa tylko jedno: jego niepowstrzymane pragnienie bratania się z Kurumbami. Znajduje się, choć na swobodzie, lecz pod surowym dozorem krewnych.

Zdaj*e* się, byłoby zbyteczne dowodzić, że „warjacja", nasyłana na człowieka przez Kurumba, i „hypnotyzacja" francuskiego lekarza to jedna i ta sama siła — niechaj ją nazywają, jak się komu podoba.

KONIEC.